



PRENUMERATA ROCZNA:
10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI
z początkiem każdego miesiąca.

O wędrówkach ptaków

a w szczególności Pustynnika (*Syrnhaptus paradoxus*).

Odczyt hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego

na V. Zjeździe lekarzy i przyrodników polskich we Lwowie.

Miałem zaszczyt właśnie z tego samego miejsca powitać II. Zjazd lekarzy i przyrodników polskich i powiedzieć słów parę, przedstawiając najrzadsze nasze zwierzęta kręgowce, stałe i wędrówne. Niechże mi wolno będzie i dzisiaj na V. Zjeździe lekarzy i przyrodników polskich wypowiedzieć nasze stare „Szczęść Wam Boże“, a jako stary zbieracz od lat przeszło 50 na niwie ojczystej i stary Lwówianin, ośmielam się powiedzieć z całego serca: Witajcie w naszym starym grodzie!

Dzisiaj muszę się poruszać w ciaśniejszym kółku i przedstawić Panom tylko najrzadsze i najznakomitsze okazy w świecie ptaszym, co u nas od czasu ostatniej Waszej bytności się pojawiły.

* * *

Nie będę się tu już zapuszczał w teoryje wędrówek zwierząt w ogólności i w teoryje wędrówek ptaków; zaprowadziłoby nas to za daleko, a może nawet w sfery jeszcze za-

nadto mgliste. Przedstawię tylko Panom najciekawsze zjawiska tych wędrówek u nas i okazy rzadkich a nawet dotąd niespostrzeganych gości. Muszę tu wszakże zrobić jedną ogólną uwagę, t. j. że u nas dotąd spotykamy tylko mieszkańców polarnych krajów Azji środkowej i północnej Afryki, a nigdy dotąd nie spotykaliśmy właściwych mieszkańców Ameryki, jak to się zdarza nawet dość często w zachodniej Europie. A i liczba, w jakiej się ci różni rzadcy goście u nas zjawiają, jest również bardzo ciekawym faktem. Są gatunki, które niejako najazd na nas robią, całą nawałą zjawiają się raptem i raptem znikają.

Na przykład znaleźliśmy w roku 1882 taką nawałę pelikanów. W jednej miejscowości, w Radłowie, zabito 19. września 1882 r. dziewięć pelikanów, a wtedy były one w całej prawie Galicyi. W przeciągu paru dni nadesłano do muzeum z różnych okolic, bo z Krakowa, z Cieszanowa, ze Stanisławowa etc. razem jedenaście pelikanów i to do 27. wrze-

śnia. Lecz jak się raptem zjawily tak i raptem znikly. W roku 1886 w październiku zjawily się znowu, ale tym razem przeważnie były nad Prutem. Między pelikanami, które się zjawily nad Prutem w roku 1886, zabito 24. października 1886 nadzwyczaj małego pelikana, którego mam zaszczyt Panom przedstawić. Jest to trzeci gatunek pelikanów, który czasem do Europy zalatuje. Jest to Pelikan mały (*Pelecanus minor*), który był u nas zupełnie nieznanym i jestem tak szczęśliwy, że go mogę do naszej fauny wprowadzić. Ojczyzną jego jest północna Afryka, z kąd go Rüpel pierwszy przywiózł. Hodek zabijał go przy ujściu Dunaju, bywał on także zabijany nad Cisą i jest wprowadzony do fauny austriackiej. Mamy więc wszystkie trzy rodzaje pelikanów, należące do fauny europejskiej.

Pelikan kędzierzawy (*Pelecanus crispus* Bruch.) był zabity w roku 1868 w Brzeżańskim. Ojczyzną jego jest wschodnia Europa, Azja i Afryka południowa. U nas do tego czasu jeden tylko okaz, ile wiem, był zabity i znajduje się w moim muzeum.

Nasze ptaki także dziwne odbywają wędrówki co do liczby, i tak: bardzo często w jesieni zjawiają się masami orzechówki i to w takich okolicach, w których zwykle nie przebywają.

Czasem zjawiają się ptaki pojedynczo. Do takich pojedynczych zjawisk należy: Mewa siodłata (*Larus marinus* L.). Okaz, który Panom przedstawiam, jest pierwszy i jedyny, który widziałem u nas. Mewa ta zabita była 23. października 1883 na Jarynie, stawie do Janowa należącym, o trzy mile ode Lwowa. Ojczyzną jej są morskie wybrzeża krajów północnych. Bardzo rzadko zalatuje ona w głąb lądów.

Takim samym zjawiskiem pojedynczo pojawiającego się ptaka jest tak zwany Orzeł biały (*Neophron percnopterus* Sav.). U nas był ten ptak dotąd znany, bo się gnieździ w Ladawskich skałach nad Dniestrem w pow. Mochilewskim, gub. Podolskiej, o czym już i Rzączyński wspomina. Okaz ten, który mam zaszczyt Panom przedstawić, jest pierwszym w Galicyi spostrzeżonym; zjawił się on w Sapuchowie, w pow. Borszczowskim. Miał tam być drugi ptak młodszy, który odleciał, ten zaś stary samiec został zbarczony dnia 11. kwietnia 1886 r. Był on tu żywym przywieziony i żył do 26. maja tego roku.

Kaczka ohar (*Anas tadorna* Linn.). Kaczka ta zamieszkuje wybrzeża morskie Europy, Azji północnej i Afryki półn. Przekłada ona słoną wodę nad słodką i przebywa nad słonymi jeziorami wewnątrz lądów; bardzo daleko ku północy nie idzie, pospolita na wybrzeżach Francyi, Anglii, Danii, na brzegach morza Śródziemnego, Czarnego i Kaspjskiego, obfita w Syberyi po stepach i jeziorach słonych. Ma ona swoją granicę w 53 st. północnej szerokości, poza którą nie idzie. W granicach królestwa Polskiego przypadkowa. U nas była zabita pod Malechowem w roku 1887. Dnia 18. listopada 1887 zjawilo się stadko, złożone z czterech tego gatunku ptaków koło Sledziejowic. Kaczka ta gnieździ się w norach po lisach, borsukach, a w razie potrzeby i sama takowe wygrzebuje.

Kaczka kazarka (*Tadorna casarica*). Jedyny to okaz krajowy, który mam zaszczyt Panom przedstawić. Kaczka ta złowioną została na Sanie w Huszczu, w powiecie Przemyskim, w październiku roku 1887. Była ona trzymaną w domu i zdechła mając bok zdruzgotany. Przysłano ją do muzeum 9. grudnia 1887. Ojczyzną jej środkowa Azja aż do górnego Amuru. Pospolita w Turkestanie, południowej Rosyi, w Dobruczy, Bułgarii, w Kau-

kazkim kraju i w Azji mniejszej. Najczęściej odwiedza Grecyę, południowe Włochy, i pojedynczo bywa w Hiszpanii. Znana jest w całych Indyach, gdzie w zimie wszędzie się znajduje. Należy ona do stepowych ptaków i gnieździ się tylko w górach. Według Tyzenhauza ma się na Podolu znajdować, gdzie ją kotką nazywają.

Pustynn timer (*Syrhaptus paradoxus*, Pallas). Pallas w roku 1770 odkrył pierwszy tego ptaka w Azji i pierwszy go opisał. Długo potem, rzadko tylko nadsyłano okazy pojedyncze do zbiorów z Sarapyty. I pojedynczy podróżnicy niedokładnie o nim przywozili wiadomości. Dopiero w roku 1859 pojawiły się te ptaki w Europie, i to w Anglii i Danii. W roku 1861 zjawia się w sierpniu towarzystwo złożone z około 15 sztuk z Mondul w Norwegii i w tymże samym roku, jak wspomina Svinhoe, jawia się ogromnymi masami koło Pekinu i około Tientsin, tak, że targi w tej ostatniej miejscowości zawałone były tymi ptakami, które sieciami łapano. Dopiero w roku 1863 zjawiają się w całej Europie. W Anglii się gnieźdzą i w samej Anglii w 78 miejscowościach je widziano, w Szkocyi w 5 miejscowościach, a w Irlandyi w 4. Gnieźdzą się i we Francyi, a zjawiają się w Niemczech i Holandyi. Wspomina o tem szeroko Dresser w swojej *History of the birds of Europe* i nawet wspomina o naszych okazach w Brodach zabitych. Dopiero badacze jak Radde, Przewalski, Svinhoe, bliższe o ojczyźnie jego podali wiadomości. Jest to przeważnie ptak stepowy; główną siedzibą jego jest Azja centralna, pustynia Gobbi i okolica, stepy kirgizkie, Turkestan, Mongolia.

W zimie ciągnie on za ciepłem, jednakże około Tarainmoor widziano te ptaki 10. marca 1856, kiedy w nocy było 13 stopni poniżej zera, a w południe tylko 2 stopnie ciepła. Gnieździ się on dwa razy w roku, raz w pierwszych dniach kwietnia, a powtóre przy końcu maja. Gniazdo ściele na ziemi i składa do czterech jaj. Przed gnieźdzeniem trzymają się w małych towarzystwach około 20 sztuk razem. Potem wzbijają się w ogromne stada do 1000 sztuk razem i odbywają wędrówki. Jest to ptak przeważnie wędrowny, ciągnący z miejsca na miejsce. Podczas gnieźdzenia osiedla się w pewnych miejscowościach, a potem znowu wędruje i jak widzimy, bardzo daleko. W roku 1863 zjawil się u nas pod Brodami; dwa tamże ubite okazy posiadam w muzeum i jeden Panom przedstawiam.

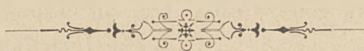
Bliższych szczegółów o jego bytności w Galicyi w owym roku niestety nie posiadam. Pan Taczanowski wspomina, że w owym roku były na przelotach w Królestwie Polskiem. Po roku 1863 nie było nic słyhać o tych ptakach w Europie, aż dopiero na wiosnę tego roku pojawiać się zaczęły. Pierwsze okazy dostałem z Radziechowa, które tu Panom przedstawiam. Ciekawą jest ta okoliczność, że Radziechów, gdzie się tego roku ptaki te najprzód pokazały, jest w linii powietrznej bardzo niedaleko Brodów, w których okolicach były zabite dwa okazy w roku 1863. 8 maja. Z tegorocznych zaś w Radziechowie, pierwszy został zabity 20. kwietnia, drugi 3 maja 1888. Posiadam jeszcze samca, zabitego w Kornalowicach w Samborskiem 21. kwietnia, i samicę razem zabita, dalej mam samicę zabita w okolicach Stryja 28. kwietnia, samca zabitego w Barszczowicach (stacya kolei Lwów-Krasne) 25. kwietnia, oraz przysłano mi okaz zabity w okolicach Stryja 3. maja 1888. Widziano je u nas w kraju, ile twierdzić mogę, między 20. kwietnia i 10. maja w bardzo wielu okolicach. Zbieram daty i oznaczam na mapie miejscowości, w których widziane były, kolorem czerwonym, niebieski zaś oznaczają miejscowości, z których okazy otrzymałem.

Niepohamowana chęć jedzenia zwierzyny u nas, pozbawia nas możliwości obserwowania tak bardzo ciekawych wędrówek tych ptaków i otrzymywania o nich wiadomości.

Mam tu list p. Taczanowskiego, który zawdzięczam uprzejmości p. prof. Dybowskiego, ośmielam się podać z niego następujący ustęp: „Mam wiadomości, że pustynniki gnieźdzą się w dwóch okolicach kraju: w Kaliskiem około Kłodawy i pod Piotrkowem. W tem ostatniem miejscu wiedzą o dziewiciu gniazdach, wszystkie w żytach. Ciekawa rzecz, co z tego wyniknie, obecnie polowania zabronione, więc powinny się wychować. Warszawa 7 lipca.“ Mówiono mi, że

w okolicy Krasnegostawu widywano ptaki te do niedawna. Może być, że i u nas gdzie się gnieźdzą, może się to wśród żniw pokaże. Są pewne wiadomości, że się dość licznie gnieźdzą w Anglii, a pokazywały się w całych Niemczech, Francyi i Austrii. Zawsze są to nadzwyczaj ciekawe ptaki, zasługujące na dokładne badanie.

Kończę, dziękując serdecznie Komitetowi gospodarczemu terazniejszego Zjazdu, że raczył przyjąć w program także zwiedzenie muzeum imienia Dzieduszyckich, i śmiem Panów jak najserdeczniej prosić o jak najliczniejsze odwiedzenie zbiorów moich.



Z psiarni, pola i kniei.

Nowela

Adolfa Dygasińskiego.

(Dokończenie.)

VI.

Przejechanie granicy Piszczan z chartami, zniszczenie tablicy pogranicznej z napisem, a nadewszystko wystrzelenie oka Wyskrobkiewiczowi wywołały rozdrażnienie w okolicy.

Już teraz nie mogło być nawet mowy o tem, ażeby Nabłocki pojechał gdzieś z wizytą. Wszystkie czyny Przetkały uważano jako dokonane w myśl życzeń i poleceń dziedzica Sokołówki. Pan Kołowolski, człowiek znakomicie wychowany, który wielu silnych wyrazów nigdy nie używał, ponieważ one jakoby plamiły jego wykwinne usta, po wypadku Wyskrobkiewicza był tak oburzony, że Nabłockiego nazwał korsarzem, a Przetkałą hajdamaką.

Nadeszła zima, duże śniegi spadły i wszystkie zwierzęta miały wielkie utrapienie, aby przetrwać ciężkie czasy. Lis bez ogona, jakkolwiek go Przetkała poszukiwał po różnych okolicznych borach, miał jednak stałe zamieszkanie w lesie Nabłockiego. Mógł on tu przebywać nawet tem bezpieczniej, że Bartłomiej uważał go po prostu za przybłądę, który w wycieczkach swoich niekiedy tylko o Sokołówkę zawadzi. Tymczasem lis w Sokołówce się urodził, tu wychował niejedno pokolenie, tu sto razy uszedł myśliwym, sto razy oparł się pokusie zjedzenia trutki, tu stracił swój ogon, więc się przywiązał do ziemi, a las w Sokołówce, choć pełen niebezpieczeństw, choć wytrzebiony ze środków do życia, był jednak drogi temu lisowi. Robił w czasach głodu wyprawę do wsi, które mu się nie zawsze udawały, bo psy chłopskie pochodziły z psiarni Nabłockiego i miały nos wielce wrażliwy na zwierzynę. Nieraz przychodziło mu noc całą przebłądzić, przysiadł po pod figurami Świętych, przystawał pod gruszami w polach, lub dumał koło granicznych kopców i różnych wielkich granitowych kamieni, a nigdzie nie znalazł potrzebnego pokarmu. Jeżeli Przetkała nazajutrz oglądał tropy i na śniegu odczytywał historję tego, co się działo w nocy, to nieraz rozpoznawał, że tu był lis bez ogona. Na miękkim bowiem śniegu, podczas siedzenia na tyle, lis z ogonem zostawia zawsze ślady swej kity.

Jednego razu dobry już poranek zastał naszego lisa w polu pod lasem; wykonywał on tutaj pracowite rzemiosło

myszkowania, strasznie marny sposób zarabiania na kawałek chleba. Słońce weszło pogodnie, śnieg się iskrzył, a cisza panowała naokoło. Lis był lekki bo głodny, na zimnie potrzebował ruchu, więc odgrzebywał śnieg po polu i szukał myszy; czasem podskoczył w górę, potem się wytarzał, to znowu przysiadł na zadzie i obserwował.

Tymczasem z lasu saneczkami wyjechał chłop, karczmarz z leśnej Wólki, folwarku po drugiej stronie lasu. Ten człowiek nie lubił lisów za to, że zjadają kury, a jechał z baryłką po wódkę do piszczańskiego dworu i droga wypadła mu na Sokołówkę. Chłop patrzył się na lisa, lis także chłopu przyglądał się z pagórka. Karczmarz podejął szkapę i mówi:

— Czekał, łajdaku, pojedę ja do dworu w Sokołówce, powiem, a oni ci tu zaraz bal sprawią... oj, musiałeś ty, psianogo, niejedną kurę w życiu schwytać, to ci się za to należy.

Karczmarz zajechał przed dwór w Sokołówce, a tu Boniek Skóra stoi na dziedzińcu z panem dziedzicem i robią naradę, gdzieby dziś zapolować w taki prześliczny dzionek.

— Żeby tak wielmożny dziedzic kazał dać kłak siana mojej szkapie — powiada chłop, kłaniając się czapką do ziemi — tobym zaraz zrychtował polowanie.

— Dać mu poreyę siana! — woła Nabłocki. — Cóż, może dziki?... Mów czempredzej!

— Nie dziki, nie, jeno lis, psawiara, siedzi na pagórku, zaraz k'sobie, jak się jedzie z Leśnej Wólki...

Nabłockiemu aż oczy na wierzch wylazły.

— Hej, Michałek! — woła — do sanek niech mi założą, dawaj Chyca, Lotkę, Orlika! A gdzie Krzykalski, Przetkała?

W mgnieniu oka wszystko było już gotowe. Parę dzielnych srokaczy zaprzągnięto do długich, niziutkich sanek. Michałek wyprowadził charty, które z radości podskakiwały w górę, przeczuwając gratkę w polu. Wsadzono psy w sanki i nakryto derami. Skóra musnął na konie i tak cały orszak myśliwych żwawo ruszył ze Sokołówki.

Lis spojrzął z górki, a oni jada; skradali się bokiem zdradziecko, niby też to chcieli ominąć zwierza, a znienia-

eka podjeżdżali coraz bliżej. Krążąc objeżdżali lisa, który z początku nie miał zaufania do tych sanek i ciągle im się przyglądał, przysiadł, przystawał. Ej, cotam, zwyczajnie przejezdni, miną i koniec! A oni się znowu zbliżyli o jakie dziesięć kroków, a udają, że nie patrzą, że ich lis wcale a wcale nie obchodzi; siedzą na sankach, jak nieruchome mumie; Przetkała nogi opuścił prawie do samej ziemi. Znowu się nieco zbliżyli.

Już barwę lisa dobrze rozpoznać można, połyskuje od słońca, wyraźnie widać, że ryży, a na podgardlu i przy uszach białawy. Stanęli... Lis spojrzął i do odwrotu się zabiera, w bok pomyka. Teraz Przetkała spostrzegł, że to lis bez ogona; o mało ze sanek nie spadł, tak mu zabiło serce.

Naraz zerwano z psów dery, Nabłocki stanął na sankach, Przetkała na śniegu — i rozległy się krzyki: „Hać go! Hać go!”

Chyc nie pędzi prosto na lisa, lecz ku lasowi się puszca, zabiega drogę, a Lotka z Orlikiem sadzą, aż kurzawa śniegu za nimi powstaje... „Hać ho!” wołają myśliwi w zapale, aby psom dodać ducha. Lis się zrobił małym punktem, ledwie go znać na śniegu, pomyka świetnie, daje psom obroty. Srokacze, parszając, czują cały zapal walki i w pędzie unoszą sanki po białym polu.

Lecz cóż to?... lis nagle zniknął, jakby się zapadł pod ziemię...

Jest w Sokołowiec parówek, który leące z gór wody corocznie rozszerzają; kiedyś może w tem miejscu powstać wielki wąwóz, jeżeli ludzkie ręce działaniu wód nie przeszkodzą. Parów ten był niezbyt głęboki, dobry koń mógł go przesadzić w rozpędzie. Patrząc zdaleka przy jednolicie białej powierzchni śnieżnej, nikt nie pamiętał o tym parowku; zdawało się, że na ziemi przerwy żadnej nie ma; właśnie tam lis niespodziewanie zniknął. Chyc w zapale przesadził parów; ale potem stanął i na wszystkie strony się oglądał. Mignęła mu w oddaleniu wrona, która po nad zagonami leciała i popędził za nią jak szalony, a Lotka z Orlikiem także się puściły, goniąc na oślep.

Zziąjany Przetkała dopadł do parowu i spostrzegł, że lis bez ogona prosto ku piszczańskim chrustom tamtędy uchronił.

Bartłomiej w mgnieniu oka wyprzęga z sanek srokacza, rzuca się na grzbiet jego jak szalony, i wzdłuż parowu pędzi na złamanie karku; charty wnet zwrot ten spostrzegły i pogoniły za Przetkałą.

List wpadł w piszczańskie chrusty; gdyby go ztamtąd można było teraz wypłoszyć, stałby się najniezawodniej zdobyczą Chyca, Orlika i Lotki. Tropy na śniegu zdradzały lisa; jeździec okiem je łowił, podążał za nimi w cwał, zapomniawszy zresztą o całym świecie. Tymczasem niespodziewanie wyskoczył z krzaku jakiś człowiek, chwycił za leje srokacza, energicznym uderzeniem kuliaka zwałił na ziemię Przetkałę, sam zaś wskoczył na konia i żwawo przez chrusty popędził do Piszczan; charty gnały za nim, nie wiedząc co się stało. Człowiekiem owym był Wyskrobkiewicz, ślepy obecnie na jedno oko. Jakże różnym od wyjazdu na łowy był powrót do domu naszych myśliwych: Bez psów wracali oni pieszo, a Bonek Skóra nie śmiał nawet zachęcać do pospieszniejszego biegu jedyne srokacza przy sankach. To pewna, że ogień zemsty przejmował duszę Bartłomieja.

Krzykalski szedł obok Nabłockiego, w oczach i na ustach miał wyraz szatańskiej ironii.

— Jeszcze mnie też nigdy i nikt w życiu na polowaniu z konia nie zwałił! — powiedział półgłosem, co jednak Przetkała słyszał, bo spojrzeniem wścieklej żmii przeszył swego towarzysza.

— Nie ma się o co gniewać — mówił z flegmą Krzykalski — bo taki paskudny przypadek każdego spotkać może; ale mnie się to nigdy nie zdarzyło...

VII.

Po nieudanem polowaniu smutnym był ten dzień zimowy w Sokołowiec. Michałek zmartwił się niezmiernie na wieść o zajęciu chartów do piszczańskiego dworu; wyobrażał on sobie, że ludzie obcy będą źle traktowali Chyca, Lotkę i Orlika, że psy te głód cierpią, a może i plagi odbierają. Co się tyczy Przetkały, popadł on w stan jakiejś apaty; udał się do psiarni, siadł przy jamnikach i tak siedział na progu, wsparłszy obie ręce na kolanach, a na rękach głowę. Ponure zamyślenie sławnego łowcy obudzało w Michałku szacunek i litość. Chłopak sądził, że Bartłomiejowi także los chartów leży na sercu — a to miłość własna cierpiała.

Dnia tego Przetkała po raz pierwszy wszedł z Michałkiem w bliższe, bardzo poufale stosunki. Znalazła się w psiarni butelka z gorzalką, przekąska z chleba i słoniny. Bartłomiej pił jakby na rozpacz.

— Capy, mosterdzieju, capy!... — mruzczał. — Szelma jestem, jeśli im to ujdzie na sucho.

Michałek pożerał słuchem każde słowo Przetkały, bo ideałem jego przecież było stać się z czasem myśliwym, podobnym do Bartłomieja.

— Michałek!... — odzywa się podchmielony już dobrze Przetkała. — Trzeba nam zrobić dzisiaj coś dobrego... Ale to sekret, cicho, sza!... Rozumiesz, pary z ust puścić nie można.

Chłopak miał właśnie nakarmić Czucha i Dydę; ale posłyszawszy te słowa, zatrzymał się i czekał, co będzie dalej.

— Masz ty jakich znajomych w Piszczanach?... — pyta Bartłomiej.

— A jakże, mam Styka! O, w Piszczanach znam dużo ludzi!... Toć ja ztamtąd pochodzę.

Nastala chwila milczenia, podczas której Czuch i Dynda dostawszy zwykle poreye, pożerały je cheiwie, warcząc na siebie.

— Czybyś ty nie przeleciał do Piszczan przed nocą?... — odzywa się znowu Przetkała, podczas gdy się psy zadławiły ospą, a Dynda odszedłszy na bok, doznała nawet jakiegoś kaszlu czy czkawki z obżarstwa.

— A bo to Piszczan jak Ukraina? — powiada chłopiec — na poczekaniu zalecę i nazad obróć.

— No, to leć, bardzo się nie spiesz, bo co nagle, to po dyable!... Miej jeno rozum; uważasz, wywiedz się pokryjomu, gdzie oni na noc zamknęli te charty, a gdzie srokacza. Rozpytywać nie rozpytuj, tylko tak nakręcaj, żeby ci ludzie sami wszystko wyśpiewali.

— Juści wiem... Ma się rozumieć... Trzeba im będzie odebrać...

— No, no, zobaczysz co będzie, a teraz się rychtuj i dy-maj, zanim ludzie spać pójda.

Bartłomiej kazał Michałkowi pociągnąć dobry łyk wódki, żeby chłopak nabrał odwagi i siły do podróży.

W Sokołowiec już wszyscy spali, kiedy Michałek powrócił z Piszczan. Przetkała też, oparłszy głowę o futrynę

drzwi, chrapał na progę; od czasu do czasu budził się i przecierał oczy. W psiarni było spokojnie, na oknie gorzał łojowy kaganek, źle oświecający kąty dużej starszylacheckiej izby; Czuch i Dynda spali cicho, przytuleni do siebie, a z sąsiedniej komnaty dolatywało tylko czasem jakieś stłumione szczeknięcie ogara, któremu się śniło, że tropi zająca.

Chłopak zziąjany przybiegł z Piszczan i budził Bartłomieja, pociągając go za nogę; porwał się teraz Przetkała na równe nogi, wytrzeszczył oczy, a Michałek tak powiedział:

— Oj, okrutne tam w Piszczanach pośmiewisko i uciecha z tego zajęcia psów a konia!... Wszyscy się natrzęsają z pana Bartłomieja i z naszego dziedzica...

— Łajdaki!... — zawołał Przetkała ze wzruszeniem. — Jakżeś zrobił? wywiedziałeś się, jak, gdzie, co?

— Jeszczeby nie!... Tać ten Styków Maciek ciągle się koło dwora uwija, będzie ztyli chłopak co i ja... Wszystko mi kolejką precz porządnie opowiedział. Rychtyk był dzisiaj na zarobku w stodole przy maszynie, to tam pono karbownik i ludzie o niczem innym nie gadali.. Psy nasze na pośmiewisko kazał Wyskrobkiewicz zamknąć do świńskiego chlewa, a o srokaczu powiedział, że to nie żaden koń, jeno krowa krasa i kazał go do krowiarni zapędzić...

— Uhum, uhum!... Wiadome rzeczy, gałgany, mosterdzieju, i koniec! Słuchajno mnie, Michałek, pójdziemy zaraz do Piszczan... Tylko, uważasz, tu nie ma żadnych żartów z takimi wisielecami. Jakby przyszło co do czego, to ci dam dobry nóż... Trzeba psy i srokacza wyratować, a jakby nas te piszczańskie psubraty napały, nie żałuj nikogo, bo i ja nie będę żałował... Albo my, albo oni — udry na udry!

— A cóżbym znowu miał żałować! — powiada Michałek, rad, że ze starym myśliwym doszedł do poufałości i pójdzie z nim na nocną awanturniczą wyprawę.

Teraz Przetkała poszedł do swojej izby, a kiedy powrócił, miał przewieszoną przez ramię strzelbę, w ręku zaś trzymał dwa wyostrzone kordelasy, z których jeden dał chłopcu, drugi sam włożył za cholewę.

— Niech mi nikt drogi nie zajdzie — powiada — bo rany Chrystusowe na wszystkim gotów!

Około północy Bartłomiej i Michałek przez pola puścili się do Piszczan.

Kiedy podchodzili do wsi po za ogrodami, usłyszeli naraz w oddaleniu głuche i przeciągłe wycie psa.

— O Jezu Chryste — mówi chłopak — toż to nasz Chyc chyba wyje!

— A może... — poszepnął Przetkała — musiały mu dokuczyć łajdaki, więc się pies opieki i sprawiedliwości ludzkiej doprasza.

— Jakie to mądre drugie zwierzę — mruknął Michałek.

Niedługo potem Przetkała siedział już na srokaczu, a z tyłu za nim chłopak, trzy charty biegły obok konia. Prędko zrobili swoje, nie spotkawszy najmniejszej przeszkody i żwawo się wynieśli z piszczańskiego dworu, gdzie im się żywa dusza nie pokazała. Bartłomiej w pełnym ewale skierował srokacza ku wsi, na początku której stał bielutki domek z ogródkiem, w tym właśnie domu mieszkał Wyskrobkiewicz. Jak tylko jeźdźcy nasi podjechali tutaj, natychmiast wyskoczyły do nich dwa psy bardzo cięte. Wszczęła się straszna bitwa; jednego z tych psów oprawiał Chyc, drugiego Orlik i Lotka. Skowyty i okrzyki bólu słychać było na wszystkie strony. Teraz Przetkała zdjął z siebie strzelbę i ze złości dał dwa strzały w zamknięte drzwi domku... Na niesłychany zgiew taki, w całej wsi Piszczanach psy po chałupach zaczęły wyć i ujadać; stróż nocni gdzieś w oddaleniu znać sobie dawali klekotkami, że

czuwają; żaden się jednak nie zjawił po drodze. Nazajutrz tylko w całych Piszczanach pełno było mowy, jakoby po nocy psy wściekle przebiegły przez wieś i gryzły wszystko, co spotkały.

Wyskrobkiewicz, gdy sprawdził fakt nocnego najazdu, zażądał osobistej audyencji u Kołowskiego.

Dziedzie Piszczan czytał właśnie „Norda“, kiedy przed nim stanął jego oficyalista i doradzał wytoczenie kryminalnej sprawy w sądzie dziedzicowi ze Sokołówki za oderwanie kłódki w chlewie i krowiarni.

— Mój Wyskrobkiewicz — rzekł z godnością Kołowski — bardzo cię proszę, nie narażaj mnie na to, żebym miał jakiegokolwiek stosunki z tą kanalią!... Dobrze, że robisz swoje i przeszkadzasz im tępić zwierzynę... Ale, przyznam ci się, wolę stracić kilka zajęcy, niż sobie ubliżyć.

Wyskrobkiewicz się skłonił, ale w duszy mniej więcej tak sobie pomyślał:

— O nie!... nie mogę płazem puścić wystrzelonego oka.

W Sokołówce, oprócz Nabłockiego, nikt nie wiedział, jakim sposobem srokacz i charty wróciły z Piszczan do domu; Krzykański był z tego dosyć niezadowolony, badał Michałka, ale chłopak z zimną krwią odpowiedział:

— Psów nikt nigdy nie zajmował, więc nie potrzebowały z Piszczan wracać.

— Jak to, przecież je wczoraj Przetkała razem ze srokaczem zabrał Wyskrobkiewicz!

— Śniło się panu chyba — odparł Michałek, nauczony przez Bartłomieja, jak ma mówić.

Krzykański wyszedł z psiarni, nie mówiąc, a w duszy sobie zadawał pytanie, czy mu się rzeczywiście wszystko to nie śniło? Poszedł do stajni i srokacza zastał na swoim miejscu. Gdy wracał, spotkał Przetkałę, który ze strzelbą na plecach, ze złośliwym uśmiechem na ustach, wybierał się właśnie do lasu, prowadząc Czucha i Dyndę.

Krzykański spuścił ku ziemi oczy.

VIII.

Z nadejściem wiosny stykające się granicami lasy Piszczan i Sokołówki zagrzmiały śpiewem ptaków, zaroili się życiem.

Leśniczy Wyskrobkiewicz miał pod swoją komendą dwóch podwładnych gajowych, których cnoty korzystne były dla dobrego stanu gospodarstwa leśnego. Ale ci ludzie bardzo spokojnego usposobienia mogli wystarczać i być odpowiednimi tylko w zwyczajnym stanie rzeczy. Obecnie zatargi Piszczan ze Sokołówką, a właściwie mówiąc — Wyskrobkiewicza z Przetkałą — wymagały, ażeby służba leśna była specjalnie dobrana. Wyskrobkiewicz chciał mieć ludzi, na których mógłby zupełnie polegać, którzyby brali do serca nie tylko obowiązek względem lasu, ale współczuli sumiennie ze swoim zwierzchnikiem i w razie potrzeby nieśli mu czynną pomoc na punkcie zatargów z Przetkałą.

— Co mi w lesie po takich ciepłych kluskach? — powiedział leśniczy z Piszczan i dał uwolnienie od służby obu dawnym gajowym, a przyjął nowych urzędników — Kurka i Ladaszewskiego.

Byli to chłopci rośli, energiczni, a jak się zdawało — bardzo skwapliwi do bójki. Gajowi nie wiele mieli roboty, włóczyli się po lesie i dozorowali w myśl udzielonych przez Wyskrobkiewicza instrukcyi, które najglówniej teraz zmierzwały do pilnowania Bartłomieja na każdym kroku. W czasie wiosny, o rannym i wieczornym zmierzchu, Przetkała czatował w lesie na słonki; gajowi o tem wiedzieli i czatowali znowu na Przetkałę. Wobec takiego położenia starcie

było nieuniknione, jakoż przyniosły je już pierwsze dni wiosny...

W Sokółowce nie było cietrzewi, a w lesie piszczańskim tokowały one z największą swobodą; więc też raz Bartłomiej wybrał się przed świtem, aby zapolować na te ptaki w czasie toku. Zabił koguta, ale niebawem po strzale zjawił się Ladaszewski i przyszło do bardzo poważnego starcia. Gajowy z Piszczan chciał dać dowód służbowej gorliwości i wziął się, aby myśliwemu ze Sokółówki koniecznie odebrać strzelbę. Było dużo szamotania się. obelgi i kułaki z obu stron padały bardzo gęsto; nareszcie Przetkała zadał Ladaszewskiemu kolbą strzelby taki potężny cios, że gajowy nie tylko utracił parę zębów, ale twarz wykręciła mu się zupełnie ku prawemu ramieniu, jakby od paraliżu.

Kurek, chociaż chłop jak koń, z daleka tylko widywał Przetkałę i z daleka na znaczną odległość prowadził z nim wojnę. Spotykali się na skraju lasów w odległości jakich ośmiuset kroków i wymyślali sobie, chociaż jeden nie słyszał, co drugi mówi; grozili sobie pięściami, wykonywali różne nieprzyzwoite gesta, mierzyli jeden w drugiego ze strzelb i dawali ognia... Huk strzałów zaledwie było słychać jakby dziecięcia pukanie, poczem przeciwnicy szli każdy w swoją stronę.

Przed Wyskrobkiewiczem chwalił się w takich razach Kurek, że Przetkałę z lasu przepędził, ale w duchu sobie myślał:

— Co ja mam zdrową głowę nadstawiać takiemu zbójowi z bliska!

Ladaszewskiemu na całe życie pozostała okrutnie wykrzywiona gęba; przed ludźmi opowiadał, że to z zawiania; ale w duszy dla Przetkały żywił nienawiść taką samą jak Wyskrobkiewicz. Gajowy ten przyszedł do przekonania, iż łowcy ze Sokółówki podobać można tylko w drodze zbiorowej napaści. Przypadek pomógł mu w tem przedsięwzięciu.

Jednego dnia po południu, Ladaszewski ze strzelbą w rękę wypoczywał sobie w lesie przy drodze, wiodącej z Łukowa. Po drodze tej szedł właśnie chłopak z Piszczan, Maciek, który chodził do powiatu z papierami, jako stójka od wójta gminy. Maciek usiadł obok gajowego i wdał się z nim w rozmowę. Pokazało się, że chłopak ma nadzwyczajny pociąg do strzelby; duszę możeby oddał, żeby mu się kto pozwolił nastrzelać do woli. Opowiadał on Ladaszewskiemu, iż przyjemności strzelania używa wtedy tylko, gdy odwiedza krewniaka swego i przyjaciela ze Sokółówki, Michałka, który posiada stary pistolet.

Na wypowiedzenie Sokółówki, gajowy aż drgnął... Przypomniał mu się bowiem Przetkała i zawrzało pragnienie zemsty. W ślad też zatem Ladaszewski powziął jakąś ideę wyzyskania stosunków Maćka z dworem w Sokółowce, bo tak mówił:

— Jaby ci dał i dziesięć razy ze swojej fuzyi wystrzelić, żebyś mi zrobił to, co powiem.

— A cóż takiego mam zrobić? — pyta Maciek, któremu aż oczy zajaśniały na myśl strzelania własną ręką i z takiej porządnej fuzyi.

Dopiero mu gajowy poczyna wykladać o co chodzi.

— Idź — mówi — zaraz jutro rano do Sokółówki i opowiedz tam Michałkowi, żeś w piszczańskim lesie znalazł lisią jamę i żeś podpatrzył, jak lis do tej jamy wlaźił.

— Kiedy ja takiej jamy nie znam — powiada szczerze Maciek.

— To ci ją też zaraz pokażę — odrzekł Ladaszewski i poprowadził chłopaka w las przez różne manowce; przy-

wiodł go w wielki parów, ukazuje mu palcem ogromną jamę i mówi znowu:

— Opowiedz mu, jak ta jama wygląda i gdzie jest... A jakby tam kto w Sokółowce chciał, żebyś go do jamy doprowadził, to doprowadź, tylko ja muszę wprzód o tem wiedzieć... Słówka mi zaś nie piśnij, żeś odemnie przysłany, bo nie tylko byś nie strzelał, ale jeszczebym kości połamał, jakbyś mnie zdradził.

Stała ugoda i Ladaszewski już teraz nawet na zadatek jakby pozwolił Maćkowi wystrzelić raz do ptaszka, który właśnie siedział opodal na drzewie. Gajowy tak jakoś radą swoją wsparł rękę i oko młodego strzelca, że ptak zginął od owego strzału. Była to ogromna zachęta dla chłopaka.

Nazajutrz Maciek spotkał się z Ladaszewskim w oznaczonym czasie i miejscu i opowiedział co następuje:

— Mówię Michałkowi: „wiesz ty, znalazłem w lesie jamę z lisami.“ A on mi na to: „doskonale! uciesz się okrutnie nasz pan Bartłomiej, jak się dowie; pewnikiem dostaniesz od niego za to wódki.“ No i zaraz mię zaprowadził do tego Bartłomieja a mówił mu: „Maciek oto znalazł w piszczańskim lesie jamę i widział jak do niej lisy wchodziły.“ Dopiero mnie on Bartłomiej wziął na spowiedź i musiałem mu wszystko opowiedzieć, jak ta jama wygląda. Tak on do mnie rzecze: „doprowadź mnie tam zaraz!“ Jenó ja powiedziałem, że dzisiaj nie mogę, że go jutro zaprowadzę na odwieczarz. No i po wszystkimu.

— Poczekajże Maciusiu — powiada Ladaszewski — jak tu Bartłomiej Przetkała przyjdzie do lisiej jamy, to ja ci może nawet zmyślę jaką pukawkę, bo mam w chałupie stare lufisko, to się tam może jaki zamek dosztukuje i kolbę dorobi.

Zaraz po tej rozmowie gajowy bieży do Wyskrobkiewicza i mówi z radością:

— No, będziemy mieli ptaszka w lesie, trzeba go tylko do klatki wsadzić.

— Co takiego? — zapytuje leśniczy.

— To, że Przetkała przyjdzie z jamnikami do naszego lasu. Łatwo jemu sprowadzać do Sokółówki piszczańskie zajace czy kuropatwy, więc my teraz jego zwabimy do Piszczan... Trzeba szelmie dać tylko taką pamiątkę, żeby ją czuł rok i sześć niedziel na skórze.

W oznaczonym czasie Przetkała, prowadzony przez Maćka, przybył do lisiej jamy, dokoła której w dołach i po za drzewami zaczęli się dwaj gajowi, leśniczy, a nadto jeszcze czwarty chłop, przybrany przez nich do pomocy.

Bartłomiej, podług zwyczaju, przed rozpoczęciem łowów łyknął wódki; potem zapuścił w jamę Czucha i Dydę, sam zaś położył się na ziemi i uchem badał działalność psów w lisiej jamie.

Naraz wszyscy czterej czatownicy wyskoczyli z zasadzek i rzucili się na myśliwego; Przetkała ani się spostrzegł nawet, a już Ladaszewski siedział mu na piersiach, jak na koniu; Wyskrobkiewicz znowu przysiadł mu nogi w kolnatch, Kurek pochwycił obie ręce i trzymał, a czwarty chłop pośpiesznie rozwijał pęk postronków, którymi niebawem począł krępować Przetkałę.

Powalony w ten sposób lew zaledwie zdołał kilkakrotnie Ladaszewskiemu plunąć w oczy.

— Przywiązać tego zbója do drzewa! — ryknął Wyskrobkiewicz, który w tej chwili kosztował całej słodczy uczuły zemsty.

Na dany rozkaz, gajowi i chłop przybrany do pomocy dźwignęli z ziemi Przetkałę niby dobrą kłodę i zanieśli go

pod starą sosnę. Bartłomiej zesiniał od wściekłości; parę razy rzucił się bezsilny całym ciałem, potem zaczął wrzeszczeć przeraźliwym głosem. Ładaszewski urwał nieco mchu, aby nim zapechać usta wrzeszczącemu; wtedy to Przetkała miała sposobność chwycić zębami za palec gajowego; ścisnął go mocno, ile tylko sił miał w szczękach, aż palec chrupnął... Ładaszewski, będąc przyłapany, skakał z bólu, ale Przetkała nie puszczał palca, przygryzł go do samej kości aż mu krew spłynęła po ustach. Tem większa wściekłość opanowała teraz Bartłomiejowych oprawców, którzy już bez żadnej litości wiązali myśliwca do drzewa, przyciągając niestannie powrozów, aby ofiara miała jak najciaśniejsze więzy.

Z kolei rzeczy pochwyceno Czucha i Dydę; psy bronily się energicznie zębami, ale Kurek narzucił je sukmaną, a potem przysiadł; powiązał im nogi, skrępował sznurkami gęby i wziął oba psy pod pachy, jak strucla.

Maciek zaraz na początku powyższych wypadków dra-pnął, nadzwyczajnie przerażony tem co zaszło; nie spodziewał się bowiem tak krwawego zajścia, do którego głównie przyłożył rękę.

Na samem odchodnem, Ładaszewski wściekły, z pięściami przyskoczył jeszcze do Przetkały, wypomniał mu swoją wykrzywioną gębę, przygryziony palec i z wielką dosadnością w głosie zawołał:

— Masz za to wszystko zapłatę!

— Niech ci Bóg nie pamięta psu bracie, ale ja będę!... — mruknął Bartłomiej i oczy z pogardą odwrócił.

Niebawem oprawcy zniknęli, a Przetkała pozostał samotny, przywiązany do drzewa. Rozmyślał on teraz nad smutnym losem swoim, posępnie wpatrywał się w ziemię i zgoryczony, w bezsilności zgrzytnął kilka razy zębami. W krzakach ptaszek pośpiewywał, w oddaleniu kukulka wołała: „ku-ku, ku-ku“!

Bartłomiej po raz pierwszy w życiu zaczął zwracać uwagę na różne drobne stworzenia, które się uwijały koło niego i ujrzał oto szereg ciemno-rudawych borowych mrówek, które szły prosto ku niemu. Wodząc okiem po tym ruchomym szlaku pracowitych owadów, spostrzegł w odległości jakich dwudziestu kroków ogromne mrowisko. Zadrżał pomyślawszy, że wszystkie te mrówki mogą przybyć pod sosnę.

Jakoż niebawem poczuł szybkie przebieganie po całym ciele kilku przybyszów; nie skończyło się na tem, bo wkrótce znowu dotkliwie szczypanie nastąpiło w różnych okolicach ciała.

Jak drugi Samson, wstrząsnął się... Ale powrozy lekko trzasnęły tu i owdzie, a zresztą były niewzruszone. Zdaje się, że ruch taki musiał przerazić mrówki, bo po pod ubraniem Przetkały strasznie się roić poczęły; sięgały coraz wyżej, dostały się na żebra, piersi, weszły pod pachy, laziły mu po szyi i pod nosem, wszędzie ciekawie zaglądały, szczypiąc od czasu do czasu.

Bartłomiej po niejakej chwili znowu zrobił straszny wysiłek, znowu wstrząsnął więzami, które atoli były trwałe, trzymały mocno.

Naraz Przetkała spojrział przed siebie i spostrzegł lisa, który wysunął się z krzaków, stanął na ścieżce i popatrzył; widocznie okiem lub uchem zauważył człowieka pod sosną, bo się porwał i pomknął dalej; na chwilę Bartłomiej zapomniał o mrówkach, o swej doli, miał bowiem przed oczyma lisa bez ogona!

Tak jest, lis zjawił się wtedy, kiedy jego prześladowca był zupełnie bezbronny, kiedy najdrobniejsze nawet stworzenia mogły się nad nim bezkarnie pastwić.

IX.

Michałek nadaremnie do późnej nocy oczekiwał powrotu Bartłomieja z Czuchem i Dydą.

Przetkała nie wracał, więc chłopak, dopełniwszy sumienia swoich obowiązków, udał się na spoczynek. Ale bardzo mu dziwno było, kiedy i rano dnia następnego Bartłomiej nie powracał. Michałek postanowił skoczyć do Piszczan i od Maćka się dowiedzieć, co to wszystko może znaczyć; miał złe jakieś przeczucia, wiedząc o zatargach z piszczańskim dworem.

Maciek ze strasznem pomieszaniem opowiedział swemu przyjacielowi o zdradzie, jaką tak niecnie uknuł gajowy Ładaszewski.

— Porwali Bartłomieja — powiada — związali go w postronki, a potem może i zabili kaj w lesie, bo psy tylko przynieśli do dworu... Któż może wiedzieć, co się stało?

Wieść taka przygnębiająco oddziaływała na psiarczyka ze Sokołówki, uważał on sobie za obowiązek ratować Bartłomieja; ale i myślał, że jeśli go zabito, więc on zemścić się powinien. Chłopak kazał się natychmiast zaprowadzić do lasu na to miejsce. Maciek szedł jak ścieły, czuł na sobie ciężką winę, i jak tylko Michałka doprowadził do parowu, gdzie była owa podstępna lisia jama, strach go jakiś straszny ogarnął; nie mógł się powstrzymać i uciekł z wielkim pospiechem. Michałkowi także ogromnie biło serce; prawie stracił przytomność, gdy usłyszał słaby głos Przetkały. Opa-miętał się nieco jednak na widok myśliwego, który był strasznie zgnębiony, jakby umierający. Krocie mrówek roily się na Bartłomieju, a on wydawał się być ciałem, pozbawionem czucia.

Niebawem nastąpiło wyzwolenie spętanego w więzach Prometeusza. Nieszczęśliwy ten człowiek był opuchnięty; tak go ścieły mrówki, że prawie nie widział na oczy... Przy pomocy Michałka wnet jako tako przyszedł do siebie; znalazł wodę, w której się obmył cały i uspokoił nadzwyczajne pragnienie. Teraz wręcz oświadczył, że do Sokołówki więcej nie wróci. Przypuszczać należy, iż rycerski umysł Przetkały czuł upokorzenie i obawiał się przekasów Krzykałskiego. Zresztą Bartłomiej był obecnie spokojny jak dziecko; ani jedna pogródka, ani jedno słowo przekleństwa na ustach mu nie powstało.

We dworze Nabłockiego miał Przetkała różne myśliwskie przybory, mianowicie też, oprócz zabranej przez nieprzyjaciół strzelby i torby myśliwskiej, posiadał jeszcze drugą strzelbę i torbę, a nadto — kordelasy, rogi z prochem, worki ze śrótem, z kulami, trąbkę i t. d.; wszystko to kazał sobie Michałkowi w tajemnicy dostawić do lasu.

I gdzie się podział Bartłomiej Przetkała, przepadł zupełnie...

Coś we trzy czy cztery dni po opisanych wypadkach, pod dworem w Sokołowce znaleziono rano parę związanych powrózkami jamników — Czucha i Dydę. Ktoś je podrzucił w nocy... Psy te miały obcięte uszy i ogony, a na szyjach zawieszono drewniane tablice z napisem: „ukarany za kradzież i za rozbój“.

Stan psów oburzył Nabłockiego w najwyższym stopniu, zmartwiony nadto i nagłem zniknięciem Przetkały, postanowił wyzwąć Kołowskiemu na pojedynek. Ale dziesięć dni czasu stracił, jeżdżąc po okolicy i w żaden sposób nie mógł znaleźć sekundantów i naraził się tylko na śmieszność i sztyderstwo. Potem ochłócił z zapadu pojedynkowego, a postanowił bądź co bądź sprzedać koniecznie Sokołówkę. Faktory zwozili mu więc codziennie po kilku kupeców. Między współubiegającymi się nabywcami był także jakiś człowiek,

podstawiony przez Kołowskiemu, o której to symulacji Nabłocki wcale nie wiedział.

Na różnych układach zeszło z pół roku, Krzykalski też raz rej wodził w Sokołowie i jako myśliwy nie miał już współzawodnika. Przetkała z westchnieniem przypominał sobie czasem Nabłocki i nigdy nieomieszkał przy sposobności zapytywać różnych myśliwych z okolicy o swego ulubieńca; ale nikt nie wiedział, gdzie się Bartłomiej podział. Słyszano, że za przejście granicy w piszczańskim lesie spotkała go jakaś nieprzyjemność; lecz o tem z Nabłockim mówić nie wypadało, ponieważ ów zatarg miał związek z obcięciem uszu i ogonów jamnikom, jako też z niedoszłym do skutku pojedynkiem, co wszystko razem w opinii ludzkiej kompromitowało dwór w Sokołowie. Najpowszechniej obiegała w okolicy wieść, iż Przetkała dostał sto batów od Wyskrobkiewicza i gajowych, wskutek czego usunął się z oczu ludzkich gdzieś w inne strony, w których o sromocie jego nie wiadano.

Jednego nareszcie dnia podstawiony przez Kołowskiemu nabywca, w towarzystwie biegłego Wyskrobkiewicza i świadka Ładaszewskiego, obu z Piszczan, robili przegląd lasu w Sokołowie, aby ustanowić jego szacunek. Kiedy

z mapą w rękę przybyli na granicę piszczańską, naraz huknęły z za drzewa dwa strzały, z których jeden ugodził leśniczego, drugi gajowego, a każdy dostał po kuli w samo czoło... Zjechał sąd i sprawdził wszystko, co było do sprawdzenia, to jest, że na dwóch prywatnych oficyalistach leśnych dopuszczono się skrytobójstwa...

Fakt ten pociągnął za sobą takie następstwa, że Kołowski przerażony odstąpił od zamiaru kupienia Sokołówki. W parę dni potem gajowy Kurek podziękował za służbę i wyniósł się podobno aż gdzieś pod Jędrzejów. Przez dwa lata okrągłe las piszczański nie miał żadnej opieki, ponieważ nikt nie chciał przyjąć tutaj obowiązków leśniczego, ani gajowego. Wytworzyły się różne myty i legendy, które przerażały każdego, tak, że nawet nie skutkowałą znacznie podwyższona pensya za pełnienie obowiązków w tym lesie. Kto tylko chciał, mógł teraz w Piszczanach polować z całą swobodą i zaprawdę ochotników takich nie brakowało.

Sokołówkę jednak sprzedał Nabłocki komuś z Rawskiego, a sam wyniósł się w okolice Pułtusza, gdzie, jak nam opowiadano, przebywa dotąd, a przy nim jest jeszcze Krzykalski, Bonek Skóra, Michałek i — czego by się nikt nie spodziewał — Bartłomiej Przetkała.

BŁOTA KOMARNIENSKIE.

(Urywek z pamiętnika myśliwskiego.)

...W bród tu zieleni — strugi, torfowiska,
Stawy a ługi, bezdenne bagniska;
Za błotem woda, za wodą znów błota,
Że myśliwcowi i spojrzeć ochota,
I słuchać gwaru, co tak ucho pieści,
Że niczem przy nim nawet szept niewieści...
Kto chce, niech sobie goni za podwiką,
Ja kszyka wolę — albo kaczkę dziką.

Czego tam nie ma w tej błotnej pieleszy?!
Masz „bojowników“ długodziobej rzeszy,
Co strojne w barwne, puszyste kołnierze,
W boju o samkę szarpią sobie pierze.
Masz czaple, bąki, kulony, kuliki,
Dubelty, siewki, fielaury a kszyki;
Dalej ród kaczek, gęsi, kormorany,
Przelotne nury, mewy, pelikany,
Dzikie łabędzie i czujne żórawie...
Masz wydry, norki... a skoro ci w trawie
Chruściel się ozwie i żabka zaskrzeczy,
W porze zalotów kszyk bębni i beczy,
Czajka zakwili, a rybitwa jęczy,
A słup komarów gdyby arfa brzęczy —
I gdy bąk w trzcinach gra jakby na basie
I łyska kicha — to wtenczas ach, zda się,
Żeś nie na błotach, lecz na muz Parnasie.

Jakaż to rozkosz wtedy wsiąść na łodzie
Ze strzelbą, płynąć pośród trzciny po wodzie,
Po błotach brodzić, podchodzić szuwarem,
Z czechem „Azorem“ lub z kurlandem „Karem“,
Co z oczu czyta i myśl twą zgaduje —
I rozkosz łowów zda się, jak ty, czuje...

Świtem, bywało, stary przyjdzie Seńko:

„Stawajcie pane, stawajcie borzenieko!
Na perszim płesi toż pidlotiw mnoho,
Oj woźmem neńka, woźmem nejednoho;
Sami kryżowe.“ — „Czaraniet ne wydko?“
„Je panyceńku, łysz bery ich didko,
To mała nuźda — łeszit ich w spokoju,
Kryżywkie fajni, ne żel i naboju!“

A więc do czołna! Senio najpierw splunie,
Zakłnie, krzyż zrobi i jak szczupak sunie
Po wód zwierciadle. Bo też i zadanie,
Wszyć się w oczeret, zanim słońce wstanie.
Dalej w sitowie! — Cisza wśród przestworzy...
Wnet Senio wiosło do czołna położy
I dalej płynie ciągnąc za szuwary.
Jak lis się skrada. Ej wyga to stary...
Pomnę, raz zjechał podloty, gdy spały;
A że jak zwykle, gdy spią, pochowały
Główki pod skrzydła, i nie w kupie siedzą,
Dotknie mnie z lekka i z myśliwską wiedzą
Zażył fortelu — a to w tym sposobie:
Gwiznął leciuchno, a kaczki ku sobie
Płyną spłoszone — sznur ich wyciągnięty...
Wtedy — jak palnę — o, Hubercie święty!...
Jak nie poprawię, kiedy się zerwały —
To niby gruszki do wody padały;
Seń zaś jak jastrząb wpada na jezioro
I wnet podlotów zebrał dziesięcioro
I zatarł ręce: „Panyczońku myły,
Jakbym ne swysnuł, szczobyście zabyły?“

Najmilsze jednak były mi w lot strzały,
I w tem szukałem mej myśliwskiej chwały,

A zachwyty łowca dosięgał zenitu,
Gdym kszyki spuszczał gdzieś aż z pod błękitu.
Lecz stary Senio wyrzekał niemało,
Gdym strzelał tylko w to, co się zerwało;
I nieraz czólnem wstrząsł, przypadkiem niby,
Tak, żem wystrzelił... Panu Bogu w szyby.
Bywało zły jest i tak straszy: „Panie,
Bihme, szczo kołys neszczaście sia stane;
Pornete w wodu, a tutka hłuboko.
Kto tak strylaje, szczo ino na oko?”

Różniem też na tem ze Seniem wychodził;
Raz przecie hultaj dyabło mi dogodził.
Zmrokiem płyniemy na „dużą halawę“,
Zdala już słyhać łopot skrzydeł, wrzawę,
Z różnych stron stadka ciągną i kaczozy,
Seń wróży zdobycz, co najmniej dwa wory.
Wszywszy się w trzciny, po ciehu suniemy,
A Seń mi daje znak po znaku niemy,
Bym się, broń Boże, w lot strzelić nie skusił;
Sam prymkę żuje, by się nie zakrzusił,
Gorzałki łyknie, za ząb włoży maczki,
Ażeby kaszlem nie spłoszyć mi kaczkę —
I dalej w szuwar... Ja trzcinę rozchylę —
Przebóg, jak żyję nie widziałem tyle

Przeróżnych kaczek... Pewnie do tysiąca...
Na ten mnie widok Senio wiosłem trąca:
Pal!... Ja zaś pragnąc w lot strzału dla sławy,
Szepnę, by wyparł na środek halawy.
Mruknął coś stary, błysnęły mu ślepie,
Splunął przez zęby i czólnem telepie.
Ja wstaję, myśląc, że gdy łódź wypłynie,
To do spłoszonych huknę — i sto zginie.
Już chcę się złożyć — gdy wtem silnie pchnięta
Łódź w tył skoczyła, a ja, jak podcięta
Siekierą sosna, hul w wodę!...

Mój Boże!

Gdy będziesz sądził, darujesz mi może
Grad przekleństw, który padł z mych ust na Seńka...
On zaś kłął duszę, że łódka maleńka,
Że tak przypadkiem... że to „hybnuł didko!...“
Lecz z burych oczu patrzyło mu brzydko,
I choć ratował i suszył mnie stary,
Nie mogłem wątpić, że tej użył kary
Za to, żem tylko w lot chciał strzelać kaczkę...
„Ot, didko hybnuł!“ — rzekł i zażył maczki,
I gdy nad nami w nieba toni sinej
Szumiał rój kaczek — znów się wszywał w trzciny...
Seweryn Krogulski.



POLOWANIE NA KROKODYLA W GALICYI.

ZDARZENIE NAJPRAWDZIWSZE.

Dnia 6. lipca b. r., jeden z najbliższych i najsympatyczniejszych moich sąsiadów, mieszkający nad stawem, na którym gnieźdzą się dzikie gęsi, kaczkę, czaple, rybołowy i inne niebardzo szkodliwe ptactwo, a zresztą nie innego — spoczywał w objęciach Morfeusza, bo jeszcze bardzo wczesna była godzina — gdy nagle przebudzonym został wejściem swego służącego.

— Jaśnie panie! niech jaśnie pan wstaje!

— A cóż się tam znów stało, Romanku? — zapytał nie w najlepszym humorze mój sąsiad ze snu przebudzony.

— Jaśnie panie! coś strasznego! niech jaśnie pan wstaje.

— Co?... Może pożar?... Na którym folwarku?

— Nie... nie się nie pali... ale... tam... na stawie...

— Co?... na stawie?... Czy groblę wyrwało?... Czy młyn wyniosło?...

— Ale nie!... Cóżby tam u nas w tym roku groblę wyniosło, kiedy wody na młyn ledwo wystarczy. Ale na stawie naszym jest jakaś bieda!...

— Jaka bieda?

— Jaśnie panie! Od wczoraj wieczór ludzie widzieli na naszym stawie pływające jakieś licho: niby wąż, niby wół, niby koń; a rusza się ciągle, bo był przed wieczorem pod Dehową, potem, że wiatr był ztamtąd silny, podpłynął pod szuwały, ciągle się nad wodą kołysał, widać, że ryby łapał; a nad wieczorem podpłynął tak blisko pod groblę naszą, że Hryć, który wieczorem z młyna wracał, bardzo się go przestraszył, i już nie śmiał pójść dalej, tylko wrócił do karczmy i u Jankla nocował.

— Idź do licha, Romanku, z twojami bajkami! — zawołał mój sąsiad, zniecierpliwiony tą powieścią i zagniewany, że go przebudzono z takiego powodu. — Cóż tam pływac może za licho po stawie? Powiedz stawniczemu, niech tam pojedzie i niech się przekona.

To rzekłszy, sąsiad mój obrócił się w swoim łóżu na drugą stronę i tam Morfeusz jeszcze silniej uchwycił go w swoje objęcia.

Dwie godziny minęły, a Romanek stał znowu przy łóżu swojego pana, i uprzedzając muchę, która go nieznośnie trapiła, biegając od nosa do ucha, to znów od ucha do oka tak, iż ostatecznie byłaby go koniecznie zbudziła — ze snu go wydarł silnem potrząśnięciem ręki.

— Jaśnie panie, proszę wstawać! Stawniczy powrócił.

— No, i cóż? — zawołał mój sąsiad niekontent, odganając się, nie wiem czy od much, czy od raportu Romanka.

— Jaśnie panie! — zawołał Romanek — stawniczy wrócił, bo uciekł!

— Jako uciekł?

— A tak, uciekł. Ale on nie był sam. Oho, z nim jeździł Pachulski, a jaśnie pan wie, że Pachulski to taki myśliwy jakich nie ma! On się nie boi ani dzika ani niedźwiedzia. Co on nam o tem nieraz nieopowiadał! A przecież się Pachulski przestraszył i uciekł przed tym strasznym potworem.

— Wołaj tu Pachulskiego! — zawołał mój sąsiad.

Po chwili przed swoim panem stanął pan Pachulski, z profesji pasiecznik, ale żaden rój jego nie mieścił w sobie

takiej ilości pszczoł, ile on w opowiadaniach swoich ubił dzików i niedźwiedzi.

— Cóż tam takiego na stawie widziałeś, panie Pachulski? — zapytał mój sąsiad i głowę skrył pod poduszkę, nie wiem, czy przed muchami, czy przed dalszą interpretacją nachodzących go interesantów.

— Jaśnie panie — rzekł wielki myśliwiec i pasiecznik — już to zaświadczyć niejedynemu może, że zębami zjadł na myśliwstwie. Polowałem przed trzydziestu laty na niedźwiedzie z s. p. panem hrabią Aleksandrem i daj mi Boże jeszcze tyle lat zdrowia przeżyć, ile tych dzików i niedźwiedzi położyłem... Raz już niedźwiedzica trzymała pod pazurami pana hrabiego Aleksandra, a ja wtedy nadbiegłem...

— Słyszałem już tę historię, słyszałem! — przerwał mój sąsiad, wychylając głowę z pod poduszki. — Ale coż tam widział na stawie?

— Jaśnie pan może nie pamięta. Więc opowiem: Niedźwiedzica pazurami uchwyciła s. p. pana hrabiego Aleksandra... a ja nadbiegłem...

— Ale wiem już, wiem o tem!... Ale coż tam widziałeś na stawie?

— Na stawie?... Ja chciałem tylko to opowiedzieć, ażeby jaśnie pan wiedział, że się Pachulski niczego nie boi, ani dzika ani niedźwiedzia — ale teraz na naszym stawie... Jaśnie Panie! ja stary myśliwy, ja się przecież żadnego zwierza nie nastraszę; taż ja dzików i niedźwiedzi nabiłem tyle...

— To już dobrze! Ale powiedzże mi, przed czem tam dziś na stawie uciekłeś?

— Na stawie? Jaśnie panie! To jest zwierz taki, jakiego w życiu nie widziałem. A ja przecież stary myśliwy. Tam pływa jakiś potwór. Widziałem go z bliska, bo ja się niczego nie boję. Nie to innego być nie może, niech mi jaśnie pan, jako staremu myśliwemu uwierzy, tylko jakiś kokodryl, bo ja takie bestyje widziałem już w menażeryach. On gdzieś uciekł z jakiejś menażeryi, może we Lwowie, a może w Stanisławowie i na nasz staw podpłynął. A może i z Ameryki podpłynął morzem przez ujście jakiej rzeki i dostał się do naszego stawu. Ja przecież się niczego nie boję, więc ze stawniczym naszym podjechałem go bardzo blisko i przypatrzyłem mu się dobrze. On ma czerwone oczy, które się świecą jak gwiazdy, nawet w dzień, ma na grzbiecie łuskę jak wąż i skrzydła jak u nietoperza, które mu w pływaniu pomagają. Byłem już na strzał od niego, przeżegnałem się i chciałem bestyi w łeb strzelić; ale właśnie gdym się składał, jak mi od wschodu wiatr nie dmuchnie w oczy, woda jak się nie ruszy z potworem! nie już nie miałem na celu, a potwór wtedy jak tuż pod naszą łódkę nie podpłył, jak wprost na nas nie dmuchnie nozdrzami... Chryste Panie! Woda buchnęła aż na dwie, trzy stopy i wiatr nas pędził, a zwierz ciągle gonił za nami. Widziałem ciągle jego czerwone oczy i białe zęby, którymi do nas klamsał. Więc ja, doświadczony myśliwy, zawołałem zaraz na stawniczego: „Wtikaj do domu!“ I to nas uratowało.

— Więc uciekaliście przed Bóg wie jakim lichem? Nie przekonaliście się, co to było?

— Jaśnie panie! Ta ja się pewnie dzikiego zwierza nie zleknie, ale jakeśmy do niego na sto kroków nadjechali, a wiatr wciąż nam wiał w oczy, on — jak nas tylko obaczył — jak nie puścił się na nas... jak nie zaświecił nam swojemi czerwonymi oczami... Cóż było robić?... To szczęście nasze, że ja, taki stary, doświadczony myśliwy, nie straciłem przytomności i zawołałem na stawniczego: „Wtikaj do domu!“

i Hospod Boh uratował nas z tej przygody, bo jak stawniczy czółnem obracał bardzo prędko, to ta bestya tak na nas nozdrzami buchnęła wodą, że i ja i stawniczy małośmy z czółna do stawu nie wpadli, bo wiatr był silny i dał na nas ciągle od tej strony, z kądem kokodryl płynął.

— A coż za licho to być może? — krzyknął nareszcie mój sąsiad zniecierpliwiony. — Niech stawniczy z łódką zaraz na mnie czeka na grobli. Natychmiast tę sprawę wyjaśnię i sam się o wszystkim przekonam.

Zanim jednak mój sąsiad miał czas przywdziać szaty myśliwskie i do tej niezwykłej przygotować się wyprawy, już fama stugębna po całej okolicy rozniosła wieść o pojawieniu się na stawie owego strasznego „kokodryla“, potwora Bóg wie skąd przybyłego, ale który ludzi i bydło na krocie pożera.

Dzień 6. lipca jest wedle obrządku gr. kat. dniem św. Jana i nabożeństwo soleune odbywać się miało w miejscowej cerkwi, więc wiele ludu pobożnego tam się właśnie zbierało. Ten lud pobożny przechodzić musiał przez groblę, z której wypływała właśnie przez mego sąsiada zorganizowana wyprawa na krokodyla. Lud cały pobożny, zawiadomiony o pojawieniu się tego strasznego potwora na stawie, pozostał już na grobli i uroczystość św. Jana się nieudała, bo cerkiew była pustą.

Mój sąsiad pojawił się wreszcie na grobli ze sztucem w rękę, w chęci przekonania się naocznie o prawdzie przyniesionych mu wieści. Wielki myśliwy Pachulski był przy jego boku. Łódka kołysała się na falach, a w dali wszyscy obecni z grobli widzieć mogli straszną postać owego krokodyla, pływającego po środku stawu. Gdy mój sąsiad zawezwał na ochotnika wiosłarza, który miałby go zawieźć na pole walki, nikt się nie zgłosił, a więc z urzędu zawezwanym został znowu ten sam stawniczy, który z Pachulskim już dziś wyprawę na kokodryla odbywał. W chwili gdy mój sąsiad do łódki wsiadał i zaprosił Pachulskiego, by też zajął miejsce w łódce, myśliwy się odezwał:

— Jaśnie panie! ja pewnie się zwierza nie boję, ani dzika, ani niedźwiedzia... ale na kokodryla! Niech jaśnie pan się nie puszcza na takie przygody! Jabym z jaśnie panem pojechał i na koniec świata... ale przecież mam żonę i sześcioro dzieci!...

Ta alokucya myśliwego i pasiecznika odezwała się echem w licznych gronach stojących na grobli starszych i młodszych matron i gospodarzy, których serca mój sąsiad tak sobie zdobyć umiał, iż z grobli całej dał się słyszeć chór:

— Pane! ne idit!... ne idit!...

Nie przebrzmiały jeszcze ostatnie dźwięki tego chóru, gdy łódka z moim sąsiadem już była na stawie, a Pachulski, wytrawny myśliwy, z grobli spoglądał z politowaniem na lecącego na oczywistą zgubę młodego myśliwca.

Na grobli lud zebrany na dzień św. Jana, zamiast się udać do cerkwi, patrzył ciekawie na tę nową wyprawę nowego Jazona po runo krokodyla. Łódka z moim sąsiadem kierowana przez zatrwożonego stawniczego, który przy pierwszej już wyprawie był doradcą do odwrotu — śmiało płynęła ku widomemu w dali na falach potworowi.

A lud przerażony patrzył na to z grobli...

Łódka płynęła dalej. Gdy się znalazła o parę set kroków od potwora, który właśnie w tej chwili spokojnie zdawał się kołysać na falach i żadnych agresywnych nie okazywał chęci, stawniczy drżącym głosem zawołał:

— Jaśnie panie! Nam może ostatnia wybiła godzina! Po co jaśnie panu na taką się biedę narażać? A jakby się jaśnie pani o tem dowiedziała, miałbym ja także za swoje!

Ot, jasnie panie, my wróćmy do grobli, a naj tam łycho szczezaje!...

— Jedź dalej, głupeze! — krzyknął mój sąsiad w gniewie, i strwożony stawniczy kilkoma uderzeniami wiosła znowu się zbliżył do potwora.

Zapomniałem dodać, że mój sąsiad, chociaż zamilowany myśliwy, ma wzrok nieco krótki.

Łódka znalazła się już na strzał sztucowy od krokodyla. Tu już wszelka odwaga odbiegła biednego sternika; drżący i ze łzami w głosie zawołał:

— Jasny pane, Bih me, dalsze ne poidu!

— Głupeze, jedź dalej!

— Moja zinka! Moi dity! — i zawrócił łódkę gwałtownie obracając jej ster wprost ku grobli.

Mój sąsiad, do najwyższego stopnia zniecierpliwiony, za pomocą jakiegoś niechybnego argumentu, który, jak znawcy twierdzą, zwykł zmieniać przekonania naszego ludu, spowodował go do tego, iż łódka w jednej chwili do swego pierwotnego kierunku powróciła.

Po krótkiej jeździe, która łódkę bardziej jeszcze do krokodyla zbliżyła, zawołał nagle stawniczy z niewidzianą radością:

— Jasnie panie, to nie jest! To wiązka trzciny, którą związał tu przedwczoraj ten inżynier, co tu jeździł na raki.

— Wracaj do grobli! — krzyknął mój sąsiad w gniewie.

Tak się skończyło to jedyne w Galicji polowanie na krokodyla.

L. Starzeński.

KORRESPONDENCYE.

Olejew 10 lipca 1888.

(Uwagi nad pustynnikiem.)

Na żądanie redakcyi przesyłam kilka szczegółów o przełocie pustynnika przez nasz kraj. W końcu maja i w początku czerwca widywano stadka po 20—30 sztuk, tak odmiennego lotu, że nawet u włościan zdziwienie obudzały. Unosiły się to wysoko, to nisko po nad ziemią, a szum, sprawiany lotem, słyszeli wszyscy. Niestety, z powodu ciepła i chłodu, nieczęsto wyjeżdżałem w pole, a na wycieczkach mych gospodarskich Diana ani jednego stada przed oczyma moimi nie dopuściła. Lecz Goethe mówi: „wszystko człowiek otrzyma, byle dożył“, tak i ja dożyłem nareszcie upragnionego widoku. W południe dnia 1. lipca, będąc na odległym folwarku, na wielkim łanie roli, usłyszałem te słowa, wyrzeczone przez ekonoma: „Spłoszyłem dwa takie ptaki, jakich pan szuka i siadły znowu na roli.“ Więc ja bryczką, on na koniu, poczynamy szukać wzdłuż i wszcz, lecz bezowocnie. Nareszcie po chwili zrywa się parka z łoskotem, podobnym do tego, który wytwarza zrywający się cietrzew i głośno wabiąc bez przerwy „cier, cier“ znikły mi z oczyma na firmamencie. Ptaków już nie widziałem, a wabienie słyszałem jeszcze. Podleciały szybko, więc płci nie można było rozeznać, a do tego ubarwienie ptaków tak podobne do roli, że ich na kilka kroków dopatrzeć nie można, gdy siedzą nieruchome. Natomiast zupełnie odrębne ruchy, lot i wabienie pustynnika muszą w bliskości i oddaleniu zwrócić na siebie uwagę każdego. Kazałem pilnie śledzić za tymi ptakami, lecz ich już nie widziano.

W czasopismach ornitologicznych i myśliwskich czytam zajmujące sprawozdania o tej szczególnej emigracji stepowego ptaka w takiej ilości, że dziś już można na krocie liczyć przybyszów tych do Europy. Co mnie najwięcej zadziwia, to, że ten południowiec zaleciał do Szwecyi i Norwegii, posuwając się do zimnych stref*). W kilku krajach

*) Właściwa ojczyzna pustynnika, stopy środkowej Azji od północno-wschodniego brzegu morza Kaspijskiego aż ku Tybetowi i południowym granicom Syberyi, miewa także groźne zimy, na co już i upierzenie pustynnika wskazuje. Gdy mu zimno dokuczy, odlata on na południe, ale wedle świadectw Raddego i Przewalskiego spotykać go można i w ciągu zim łagodniejszych, zwłaszcza na północno-wschodnich krańcach pustyni Gobbi. Prosimy szanownych towarzyszy pod sztandarem św. Huberta, by raczyli

niemieckich nakazały władze ochronę tych ptaków, a że widziano znaczną liczbę par, mają mieszkańcy nadzieję rozmnożenia już europejskich pustynników. Zaiste zagadkowa ta emigracja, tak tłumna, zaostza ciekawość; zdawałoby się po ilości przybyszów, że w Azji mało już tych ptaków pozostało. Co więc mogło tej wiosny wypędzić z ojczyzny pustynnika? Czy orkany, czy głód, czy jakie instynktowe przecucie, czy wiatry, przysypujące piaskiem żer i pędzące ptaki w jednym kierunku, i to przez dwa morza, do lądu przywiązanych mieszkańców? Tajemnica to do tej chwili niezgłębiona.

Co one poczną pod zimę? Czy na południe pociągną, czyli też, jak nasi wychodźcy do Ameryki, poddadzą się nędzy?

K. Wodzicki.

Podkamień 20. czerwca 1888.

(Niemożność aklimatyzowania pustynnika. — Czy należy ochraniać słonki na wiosnę?)

Pustynnik (*Syrhaptis Pallasii*) poważną odegrał rolę w szpaltach „Łowca“ i wielu niemieckich czasopism w tegorocznym ogórkowym peryodzie. Wdzięczność winniśmy temu azyatyckiemu przybyszowi za to, że nas wśród tego snu letargicznego nieco swoim przybyciem zelektryzował i pobudził jakieś nadzieje, które wielu optymistów w zachwyty wprowadzają. Co do mnie, nie dzieląc optymistycznych w tym względzie zapatrywań myśliwych niemieckich, z ciekawością badacza śledziłem pojawienie się tego rzadkiego gościa na niwach naszych.

Jak doniosłem w poprzednim moim sprawozdaniu, bardzo liczne ciągi tego ptactwa przybyły na bezleśne przestrzenie między Chodorowem a Rohatynem. Widywano tam stadka z 50 do 100 sztuk na wiosennych posiewach. Zbierały ziarna zasiane, nie lękając się wcale bliskości ludzi. Pobyt ich trwał wszelako bardzo krótko — zaledwie dni

przy nadechodzącym sezonie polowań, zwracać pilną uwagę na pustynnika, a po ubiciu tego gościa zamiast na kuchnię — nadsyłać go do Muzeum im. Dzieduszyckich. Muzeum będzie wielce obowiązane, a dla dawców samych będzie to stanowiło miłą pamiątkę — zapisaną w księdze. P. R.

dziesięć w ostatnich dniach kwietnia. Przez ten czas nie byłem w domu, a za powrotem moim wszelkie poszukiwania za tym ciekawym ptakiem były już bezowocne. Wiatry, które je z głębi Azji do nas przyniosły, odniosły je widocznie gdzieś dalej... Bóg wie dokąd?

Wobec tego faktu, w pokorze ducha wyznać muszę, iż jest niepodobieństwem żywić nadzieje optymistów niemieckich, którzy sobie wróżą, iż przyłot tych azyatyckich gości wytworzy w Europie nowe ptaków plemię, które się z czasem rozrośnie, jak n. p. ród germański i ród semicki na obszarach ziemi słowiańskiej.

Nie wierzę, ażeby zapamiętały turysta, co nie z kaprysu własnego, ale z kaprysu wiatrów, które go gnały od Wschodu, przebył podróż z głębi Azji, i aż na nasze zapadł niwy — miał tu spocząć na zawsze i o dalszej nie myślał podróży!

Nie przeczę, iż wiele ptaków, zamieszkujących inne strefy, udało się ludziom zaaklimatyzować systematycznie. Świadcami tego są: pawie, indyki, bażanty, pantarki i t. d., ale pytam, czy się zdarzył kiedy wypadek w przyrodzie, ażeby ptactwo, zagnane wichrami z jakiej innej strefy, w zupełnie innych klimatycznych żyjące warunkach, samo przybyło i zaaklimatyzowało się w kraju, którego warunki tak odmienne od tych, gdzie im przyroda miejsce naznaczyła?

Dlatego to uważam nawoływania wszelkie czasopism myśliwskich o ochronę pustynnika za utopię — bo gdyby nawet te ptaki, zagnane wiatrami Wschodu, lęg swój w Europie odbyły w tym roku — jak można przypuszczać, aby te nowe generacje przetrwały nasze ostre zimy i pozostały wśród nas? Niech nasi ornitologowie raczą tę sprawę rozstrzygnąć.

Ta sprawa myśl mi inną nasuwa. Oto owe powtarzające się często w szpaltach „Łowca“ zdania o ochronie słońek na wiosnę. Żaden myśliwy z pewnością nie zaprzeczy, że słońki gnieźdzą się u nas we wszystkich lasach, a to zacząwszy od Sławonii aż do Szwecyi i Norwegii. Niezmierzone przestrzenie północnej Rosyi aż do Chin są najobfitszym miejscem gniazdowem słońek. Tam wylęgają się owe miriady tego ptactwa, które później — w jesiennym ciągu — wedle kaprysu wiatru, na Europę spadają i myśliwym naszym niewymowną sprawiają rozkosz. Ale ta rozkosz tylko od wiatru zawisała. Kto wszelako miał sposobność być na Wschodzie, w ciągu przelotu ptactwa, kto widział te miriady słońek, gotowych do lotu na Północ, ten przyjsć musi do przekonania, że słońki, które w nasze przychodzą gnieździć się strony, są tak nieliczne, iż tego w rachubę nawet brać nie można. A te, które giną w Europie od palnej broni, są niezem wobec tych, które ginąć muszą na morzu i skutkiem innych nieprzewidzianych katastrof. Gdyby istniała jakaś międzynarodowa ustawa, nakazująca szanowanie słońek w całej Europie, mielibyśmy z niej tę może korzyść, iżby Chińczyki o kilka tysięcy słońek do roku więcej zabijać mogli — ale z pewnością taka ustawa w Galicyi nie miałaby racyi bytu.

Słonka (*Scolopax rusticola*) jest to wiecznie wędrujący Cygan. Od równika wiecznie ciągnie ku Północy... a od Północy ku równikowi przez rok cały. Jej sterem jedynym są wiatry — a któredy one nią zawiąć raczą — tego nikt nie przewidzi. Raz ku Północy przez Hiszpanię — czy przez południowe Włochy; a może w innym roku przez Kaukaz ku Persyi — i sądzić będzie Europa, że ród słońek wyginał. Ciąg ich wiosenny jest zupełnie niezawisłym od ciągu jesiennego. Nie ludźmy się przeto, aby można było z ciągu wiosennego wróżyć o jesiennym. Cygan — Bóg wie, dokąd ciągnie, wciąż gdzieś w dal — w dal! — Widziałem bo-

wiem bardzo świetne ciągi jesienne w okolicy, w której z wiosną ani jednej słonki nie widziano — i odwrotnie.

Nestor myśliwych naszych hr. K. Wodzicki, od lat tak wielu polując na wiosnę zawsze z nagonką na słonki, dał dowód najlepszy, że nie sądzi, aby wiosenne polowania wywierały jakikolwiek wpływ na jesiennie ciągi. Sam byłem świadkiem, że w Olejowie pomimo odbytych z nagonką polowań na słonki na wiosnę, ubiliśmy ich na jesiennym ciągu 523 sztuk — a te z pewnością nie z lęgu ale z ciągu pochodziły.

Ornitologowie niemieccy od dawna zastanawiali się nad tą kwestyą i przysli do przekonania, że wszelka ochrona słonki byłaby bezowocną. Najlepszym tego dowodem, że Najjaśniejszy Pan i arcyksiążę Rudolf uważają wiosenne polowanie na słonki, na ciągu i z nagonką, za swą najmilszą rozrywkę, a są to pewnie myśliwi pierwszorzędni, i dbający o zwierzozostan w kraju.

Wobec tego byłoby pożądanem, by nasz świat myśliwski raz już dał spokój pustynnikom, słonkom*), i innym przeciągającym ptakom, których nam zresztą sama przyroda dostarcza, a zajął się prawdziwie naszą zwierzyną, która potrzebuje opieki i tę opiekę nad nią rozszerzył.

Niech pustynniki, słonki i t. p. boskiej zostawi opiece, a niech o krajowej zwierzynie pomyśli. Taką opiekę przede wszystkim widziećbym chciał nad głuszcem, cietrzewiem, jarząbkiem i kuropatwą, bo to są prawdziwi obywatele nasi. Kaczki dzikie nie należałoby też strzelać przed 15. lipca. Nasza ustawa z innych względów za ostra, tu okazała się zbyt pobłażliwą; dozwala bowiem zabijać dzikie kaczki już od 15. czerwca. Również i pozwolenie strzelania zajęcy od 15. września zdaje mi się być myśliwską zbrodnią. W owej porze zajęczyca każda jest jeszcze około swego lęgu zajęta. Każdy prawdziwy myśliwy wie o tem, i pewnie do pomkniętego o tej porze zajęcia nie strzeli — ale niedzielny polownik matkę rodu zabija na mocy ustawy, i tak zwierzozostan niszczy.

Jako stary myśliwy odzywam się znowu do Wydziału Towarzystwa łowieckiego i proszę o zbadanie kwestyi, czyby nie było w przyszłej ustawie bardziej pożądanem zakazanie strzelanie kaczek i gęsi do 15. lipca, a zajęcy do 1. listopada — oraz dozwoleń tępienia drapieżników, a zwłaszcza lisów przez rok cały. Byłoby to ważniejszem, niż ochrona jakiegoś przelatującego ptactwa — a przedewszystkiem strzelanie słońek na wiosnę.

L. Starzeński.

Myczkowce o. p. Lisko d. 19. lipca.

Jadąc dzisiaj w pole drogą wyszutrowaną drobnym, piaskowatym żwirem, zobaczyłem ptaka, który się zerwał przed kołniami. Myślałem, że to turkawka; przypatrzwszy się jednak lepiej, poznałem, że to pustynnik. Miałem strzelbę i dwa naboje śrótem Nr. 2. napełnione. Zacząłem go podejżdzać; siadał o paręset kroków i chodził wolno po drodze, lecz bliżej jak na 70 kroków podjechać się nie dał. Zerwawszy się leciał wolno, lotem podobnym do białej mewy, nie wydając głosu; chodząc, miał ruchy podobne do gołębia. Gdy za nim jechałem powoli — to szedł a raczej uchodził piechotą idąc stępem, a gdy się zbliżałem na 70 kro-

*) Opinii tej co do słońek, aczkolwiek przeciwnej w zapatrywaniu, któreśmy w Nr. 5. „Łowca“ wyrazili, dajemy tu w całości miejsce, aby wywołać pożądaną w tym względzie polemikę. P. R.

ków, stawał, obracał się bokiem tak, że jaśniejsze piórka na skrzydle dokładnie widzieć było można i zlatywał, a wachlując wolno skrzydłami i okrążywszy mnie polem, siadał znów za mną na drodze. Nawróciłem i wolniutko jechałem za nim, a gdy się obrócił bokiem by wlecieć, strzeliłem. Pustynn timer chybiony zerwał się, a lecąc szybko wydał z siebie głos, który opisać trudno; odzywał się co kilka sekund po dwa razy i poleciał zdrów, a że śpiewał, więc zdaje się i wesół, zostawiając mnie pogrążonego w smutku.

Rok ten obiecuje wiele myśliwym; zajęcy widać dosyć, również sarn i lisów. Przepiórek dawno tyle nie bywało co teraz — mało tylko widać kaczek i kuropatw.

Teofil Żurowski.

Z Berezynskiego na Litwie.

(Lasy i zwierzyna.)

Litwa, to niegdyś królestwo lasów i zwierzyny, obecnie tylko w tradycjach może szukać wspomnień dawnego swego bogactwa. Do zmniejszenia lasów nie mało się przyczyniło rabunkowe leśne gospodarstwo, a zniknięcie zwierzyny w obszernych lasach i błotach, warunkuje się niespełnianiem obowiązujących przepisów o polowaniu. Braki i niedokładności w obowiązującym prawodawstwie być może usunięte zostaną w nowoprojektowanej leśnej ustawie.

Z zazdrością i podziwieniem czytamy opisy polowań w Królestwie Polskiem, gdzie w jednym dniu padają pod strzałami setki zajęcy i dziesiątki dzików i rogaczy; u nas dziesiątek myśliwych po całodziennym trudzie zaledwie je-

dnego zajęcia, jako trofea łowów, do domu przynosi; a łosi lub niedźwiedzi i na lekarstwo u nas nie znajdzie. Prawo zabraniające polowania podczas lęgu zwierzyny i ptactwa, nie zastosowane do warunków klimatycznych i miejscowych, istnieje tylko na papierze.

Z nadejściem wiosny, kiedy zwierzyna na gniazdach siedzi, organizują się całe wyprawy chłopaków na poszukiwanie jaj kaczek, cietrzewi i kuropatw — i na jedno śniadanie niszczą się całe stadka. Okropne spustoszenia robią psy, szczególnie na zajęcach, których całe gniazda jak pałeczki bywają pożerane.

Ustawa odnośnie do tych kwestyi posiada następujące punkta: artykuł 121. opiewa, że za szkodę zrobioną właścicielowi przez zwierzę, należące do obcej osoby — właściciel takowego podlega karze pieniężnej, nie wyższej nad rs. 10; artykuł zaś 153. tejże ustawy mówi: że za zabicie cudzego zwierzęcia, winny podlega karze nie wyżej jak rs. 100. Skutkiem tego prawa, każdy zabity przez strażnika, włączający się po lesie pies, znajduje właściciela, a ten wytacza dworowi proces o poszkodowanie. Sędzia pokoju, na mocy ustawy — skazuje właściciela psa za szkodę na karę 5 rubli, a dwór za zabicie psa, na 15 rubli wynagrodzenia! Każda podobna akeya kosztuje 10 rs., co jest jeszcze wyrokiem łagodności, bo sędzia mógłby kazać za psa zapłacić rubli sto.

Jeszcze gorzej się dzieje z zabicie psa, podejrzanego o wściekliznę. Przepisy policyjne, wyraźnie upoważniające do tego, nie są uwzględniane.

(Kraj.)



KRONIKA.

Wydział galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego rozesał swym delegatom następującą instrukcyę:

Instrukcy a dla Pp. Delegatów gal. Tow. łowiec.

1. Zadaniem Pp. Delegatów jest: dostarczanie Wydziałowi wszelkich sprawdzonych należycie faktów i spostrzeżeń, odnoszących się do gospodarki łowieckiej w powierzonym ich opiece rejonie, oraz wyrażanie, według najlepszej swej wiedzy, opinii, w sprawach przez Wydział do orzeczenia im przedstawionych.

2. Wzór A. zawiera kwestye, w których kategoryczna odpowiedź najbardziej jest Wydziałowi pożądaną, ze względu na konieczność oceny stosunków gospodarki łowieckiej w całym kraju, sporządzania co roku przeglądowej mapy łowieckiej i w ogóle wytworzenia punktu wyjścia dla statystyki tej gospodarki na przyszłość. Należy wypełnić wzór ten zechcą Pp. Delegaci przesyłać Wydziałowi dwa razy do roku, a mianowicie: pierwszy raz w czasie od 1. do 15. sierpnia, z uwzględnieniem głównie pomiotu i lęgu użytecznej zwierzyny w ostatnich miesiącach wiosennych i letnich, — a drugi raz w czasie od 1. do 15. marca z ocenieniem stanu zwierzyny na podstawie wyników polowań w ostatnich miesiącach jesiennych i zimowych.

Oceniając zwierzozstan w sierpniu, oraz wynik łowów w sprawozdaniu marcowem, zechcą Pp. Delegaci używać terminów następujących: „świetny“, „dobry“, „mierny“, „zły“, a to dla ułatwienia Wydziałowi poglądu przy sporządzaniu zestawień statystycznych, obejmujących kraj cały.

3. Wzór B. służy Pp. Delegatom do relacji doraźnych o ciekawszych wypadkach z łowów, o których posiadają pewną wiadomość. Relacje te zużytkowywane będą przeważnie jako materiał do kroniki bieżącej „Łowca“.

4. O faktach, wymagających interwencji Wydziału, jak nadużyciach w gospodarce łowieckiej, lub o szczególnie ciekawych spostrzeżeniach w kniei i w polu, zechcą Pp. Delegaci zdawać Wydziałowi sprawę osobno i bezzwłocznie.

5. Listy (frankowane czy niefrankowane) raczą Pp. Delegaci adresować „do Sekretaryatu gal. Tow. łowieckiego we Lwowie, ul. Teatralna l. 18.“ Niemniej o każdej zmianie własnego adresu raczą Pp. Delegaci bezzwłocznie uwiadomić Sekretaryat Towarzystwa.

Lwów, w lipcu 1888.

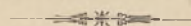
Wzmiankowany w powyższej instrukcyi formularz A. jest tabelą, w której rubrykowanym porządkiem wedle gmin podawane być mają cyfry znajdującej się na danym obszarze zwierzyny szlachetnej i szkodliwej i spostrzeżenia co do całej gospodarki łowieckiej.

Formularz B. taką zaś ma formę:

Ciekawsze spostrzeżenia			
z polowania odbytego dnia		18.....	w rewirze
należącym do	gminy	Właściciel	polowania
Wny	państwa	Dzierżawca	
W strzelb	ubito	na czarnej stopie	dzików
....., zajęcy, lisów	na śniegu, rogaczy
....., słońek, kuropatw, jarząbków
Z innej zwierzyny			
Podnieść tu należy			

W porównaniu z zeszłorocznem polowaniem w tym rewirze w analogicznej porze i warunkach, rezultat ten nazwać można

Sprawozdanie to składa Wydziałowi galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego



V. Zjazd lekarzy i przyrodników polskich, który obradował we Lwowie w dniach 18. do 22. lipca, powiódł się bardzo świetnie. Wzięło w nim udział około 700 uczestników. Oprócz przeważnej ilości lekarzy, profesorów, aptekarzy i miłośników przyrody ze wszystkich okolic naszego kraju, uczestniczyło w Zjeździe wielu rodaków z po za obu kordonów, z W. ks. Poznańskiego, z Kongresówki i z krajów zabranych, nadto rodacy i Czesi z Pragi. Podzieliwszy się na 9 fachowych sekcji, rozbiłali zgromadzeni na posiedzeniach sekcyjnych wiele spraw ważnych i ciekawych, tyjących się nietylko zawodowego działania lekarzy, lecz mających ogólne przyrodnicze znaczenie.

Na pierwszym publicznym posiedzeniu odczytał hr. W. Dzieduszycki swe spostrzeżenia o wędrówkach ptaków, a pracę tę znakomitego badacza naszego zamieszczamy na czele niniejszego numeru.

Niemałe wrażenie wywarły na uczestnikach Zjazdu odwiedziny w muzeum im. Dzieduszyckich. Zbiory te nieoszacowane, mieszczące w sobie wszystko, czem się może poszczycić przyroda naszego kraju, a przedewszystkiem fauna tegoż — co wreszcie cechuje lud różnych okolic naszych i jego życie — uporządkowane umiejętnie i wyposażone z królewską munificencją — musiały wywołać podziw i oklask nawet u takich, co pierwszorządne muzea tego rodzaju widzieli.

Istną zaś niespodzianką i dla członków Zjazdu i dla samego Lwowa stała się wystawa lekarsko-hygieniczna, urządzona na czas Zjazdu w gmachu szkoły realnej. Mimo bardzo krótkiego czasu, jaki komitet wystawy miał do rozporządzenia, powiodła się ona nadzwyczajnie i umiała w kilkunastu salach pomieścić bardzo wiele okazów ciekawych a nawet pierwszorządnej wartości naukowej, mogących zainteresować i lekarza i przyrodnika i nauczyciela — w ogóle każdego wykształconego obywatela, dbałego o higieniczne warunki życia.

Wystawa ta poruszyła pomysł wytworzenia stałego muzeum higienicznego, na które p. namiestnik przyrzekł nawet użyczyć lokal tymczasowy w gmachu namiestnictwa.

Zjazd, urozmaicony wycieczkami, recepcjami i ucztami, przyczynił się też niemało do serdecznego zbliżenia ludzi nauki z rozmaitych dzielnic kraju, a na tem skorzystać tylko może niezgłębiona nigdy wiedza przyrody, wymagająca tak bardzo udzielania sobie badań i spostrzeżeń.

Zarząd gospodarczy Zjazdu wydał dla uczestników „Przewodnik po Lwowie“, mieszczący w sobie cenne szczegóły statystyczne, historyczne i przyrodnicze o naszym grodzie i jego okolicach. Nadto wydano w ciągu Zjazdu pięć numerów „Dziennika Zjazdu“, który jest wiernym obrazem tego czterodniowego ruchu naukowego lekarzy i przyrodników polskich.

Przyszły Zjazd postanowiono odbyć za trzy lata w Krakowie.



O Pustynniku ciekawe podaje szczegóły p. Fr. Tiemann, konserwator zoologicznego muzeum we Wrocławiu:

„W ciągu lata w r. 1883 otrzymało zoologiczne muzeum uniwersyteckie we Wrocławiu pustynnika, samice, nadesłaną z Bieg w okręgu wrocławskim. Stan odżywienia tego ptaka był wyśmienity. W grudniu tego samego roku przyszedłem w posiadanie drugiego pustynnika, samca, którego ubito w Kleitendorfie pod Wrocławiem. Mimo ostrej zimy, lodu i śniegu, był on również wybornie odżywiony; w wolu znalazłem nasiona rozmaitych traw. W połowie kwietnia b. r. doszła mnie wiadomość o ponownem pojawieniu się tych pięknych mieszkańców stepowych i wkrótce dostałem parkę do wypchania. I ta para ptaków była dobrze odżywiona. Przy preparowaniu samicy znaleziono dużo jaj w zarodku, a niektóre z nich tak bardzo już rozwinięte, że znieśnienie ich musiało już być na pierwszą połowę maja przypisać. Ptaki te pochodziły z dóbr hr. Mielżyńskiego w Poznańskiem i były znalezione w pobliżu drutów telegraficznych, o które się zabiły. Otóż z okoliczności, że tak u ptaków, ubitych w ciągu lata, jako też u tych, które na wiosnę i w zimie padły, nie było ani śladu oznak, aby to były ptaki zabłąkane, możnaby wyprowadzić wniosek, że nasze klimatyczne i rolnicze warunki sprzyjają zaaklimatyzowaniu się pustynnika.“

W Rudniku u hr. Hompesza złowiono trzy pustynniki i hodują je w niewoli.

Polowania na głuszce w rewirach cesarskich trwały tej wiosny 34 dni (nie licząc dni pośrednich, na których polowań nie urządzano) i zakończone zostały dopiero w dniu 29. maja. Ubito na tych polowaniach 128 kogutów.

Wojna ptaków. Czytamy we *Frankfurt Ztg.*: Prefekt Tyrnowy doniósł rządowi w Sofi o szczególnej wojnie ptaków, jaka się odbyła dnia 28. czerwca w obłokach po nad Tyrnową. Wczesnym już rankiem dostrzeżono nadciągające ze wschodu orły w liczbie około 200, które kracząc przeraźliwie, krążyły po nad szczytami gór Jantra. Tłum ludzi przypatrywał się temu widowisku, a wzrósł on bardziej jeszcze, gdy w kilka godzin później z północno-wschodniej strony nadciągnęło ze 300 bocianów i skierowało się wprost ku orłom. Przez chwilę zdawało się, że orły i bociany nieruchomie zawieszono badają swoje stanowiska i siły swoje, aż nagle z ogłuszającym krakaniem i klekotem rzuciły się ku sobie i rozpoczął się straszliwy bój. Co chwila spadał na ziemię śmiertelnie ugodzony bocian lub orzeł i dopiero po godzinnej walce, gdy szeregi skrzydlatych bojowników znacznie się przerzedziły, zabrały się te ptasie armie do odwrotu w dwóch przeciwnych kierunkach. Około 200 ptaków legło na placu boju, a rząd polecił prefektowi, aby przeszukano góry i podano dokładnie cyfrę poległych orłów i bocianów, pragnie bowiem wiedzieć, która strona odniosła zwycięstwo.

Gołębie pocztowe doczekały się znowu troskliwej chodowli i tresury ze względu na ważność, jaką mają w czasie wojny, gdyż jak wiadomo, można ich używać do przenoszenia depesz w miejsca obleżone i wogóle takie, gdzie polowa komunikacja telegraficzna jest niemożliwa.

Dnia 16. lipca o godz. 8. min. 12 rano wypuszczono w Wiedniu przez wojskowy komitet posłane tamże 62 gołębi pocztowych rasy belgijskiej, chowu stacyi wojskowej w Podgórzu. Pierwsza partya (7) wróciła do stacyi w Podgórzu tegoż samego dnia o godz. 3. m. 12 po południu — reszta zaś, stosownie do ich wypuszczenia, partjami po 5, w odstępach o 5 minut później. Uwzględniając różnicę zegaru wiedeńskiego do krakowskiego odległość 413 kilometrów przeleciały gołębie w 6 godzinach i 53 minutach, co odpowiada jednemu kilometrowi na minutę.

Kukułka nie zawsze znosi jaja do obcego gniazda. Nadleśniczy Adolf Müller z Krofodorfu, znany ze swych ścisłych badań ornitologicznych, obserwował starannie gniazdo kukułki i widział jak sama jaja swe wysiadała. Jaj tych było trzy, lecz wylęgło się tylko jedno piskle, które matka następnie bardzo troskliwie gąsieniczkami karmiła. Byłby to dowód, prostujący dotychczasowe twierdzenia, że kukułka nigdy — nawet wyjątkowo — jaj swych nie wysiada, lecz zawsze do obcych gniazd je znosi.

Dziko włóczące się psy, objaw równie dzikich stosunków publicznych, bywają coraz bardziej przez porządkującego swe stosunki człowieka prześladowane. W Warszawie wytworzyła się nawet między pewnem gronem myśliwych pasya... polowania na psy.

„Pewne grono zapalonych myśliwych — pisze „Kuryer Warszawski“ — w oczekiwaniu na sezon łowiecki, jaki się rozpocznie w przyszłym miesiącu, wyjeżdża w okolice Warszawy dla zadosyć uczynienia pasyi myśliwskiej i strzela do psów. Naturalnie myśliwi strzelają tylko do kundysów, włóczących się po polach i lasach, a tępiących młodą zwierzynę. Trzej tacy myśliwi, od miesiąca wyjeżdżając prawie dwa razy na tydzień w różne strony Warszawy, zastrzelili już 28 psów, samopas bez przepisanych klocków błądzących. Strażnicy ziemscy przeciw tego rodzaju polowaniom nic nie mają, gdyż sami otrzymali polecenie wszystkie psy po polach błądzące wyniszczają.“

Nie bardzo to może przystojnie dla myśliwych, ale praktycznie, a mogą się nawet zasłonić koronowaną głową, Augustem III, który jak wiadomo, z okien zamku królewskiego w Warszawie z pasją do psów strzelał.

W Kijowie inaczej się wzięto do psów. Zarząd tego miasta, chcąc wytepić znaczną ilość psów, wałęsających się po ulicach, płacił premią po 3 kop. za każdy psi nos, który służył jako dowód, że pies został zgładzony ze świata. Oczyszczono miasto istotnie od psich włóczęgów, ale nieszczególnie wyszedł na tem zanadto chciwy, główny antreprenier przedsiębiorstwa, niejaki Szaula. Zgłosił się on przed kilku tygodniami z podaniem o wypłaceniu mu należności za przedstawione rządowi psie nosy, w liczbie 1719. Ponieważ jednak termin tępienia psów wyznaczony był tylko do kwietnia, a owe nosy przedstawione zostały dopiero w maju, przeto zarząd odmówił wypłaty premii i Szaula pozostał ze swojemi nosami, no — i z własnym... na kwintę spuszczonej.

W Paryżu, chcąc zapobiedz okrucieństwu używanego dotąd wieszania schwytych włóczęgów psiego rodu, urządzono obecnie istną fa-

brykę tępienia psów. Wsadzają je mianowicie do żelaznej klatki, która następnie biegnie po szynach do zamkniętego hermetycznie rezerwoaru. Rezerwoar napełniają gazem świetlanym i psy w krótkim stosunkowo czasie zostają wyduszone.

W Budapeszcie wypowiedziano w ostatnich czasach wojnę k o t o m, stały się one bowiem straszniemi przez to, iż kilka z nich uległo wściekliwości. Władza zarządziła formalne wytępienie rodu kociego i dzień w dzień od rana do wieczora przeciąga ulicami miasta oprawca, który przeszukuje we wszystkich domach piwnice, strychy a nawet mieszkania lokatorów, w celu wyłapania wszystkich kotów. Oczywiście, że musi on staczać przy tem ciężką walkę, szczególnie z lokatorami płci niewieściej. Wściekłe koty, które budapeszteńskiej publiczności takiego napędziły strachu, grasują także w okolicy i na prowincyi. Jeden z dzienników peszteńskich donosi: Małą córeczkę p. Kubinyiego, właściciela dóbr w Gömöre, Margitę, ukąsił przed miesiącem kot wściekły. Kubinyi przywiózł kota do Pesztu, do profesora uniwersytetu Högyesa, który skonstatował u kota chorobę wściekliczną. Ciężko strapieni rodzice posłali córeczkę w towarzystwie jednego z lekarzy do Pasteura w Paryżu. Znakomity uczonego przyjął dziewczynkę do kuracyi i udało mu się po trzech tygodniach oddalić wszelkie niebezpieczeństwo. Przy tej sposobności mówił Pasteur z peszteńskim lekarzem o innych wypadkach, jakie się w stolicy Węgier zdarzyły i zdziwił się ogromnie gdy mu powiedziano, jak wielka liczba kotów znajduje się w Peszcie. Zdaniem francuskiego uczonego kot jest najzupełniej niepotrzebnym zwierzęciem domowym, gdyż dzisiaj myszy i szczury tępić można sztucznie o wiele skuteczniej i pewniej, aniżeli spuszczać się w tej mierze na koty. Wreszcie oświadczył Pasteur, że stolica Węgier postąpiła bardzo rozumnie, wypowiadając kotom wojnę.

Cóżby na to powiedział Psammenit i jego współcześni, którzy taką cześć oddawali kotom, że się nawet dla miłości kotów wojskom Kambezesa pobić dozwolili?

Kuny we Lwowie. W „Gazecie lwowskiej“ czytamy: „Mamy do zanotowania ciekawy fakt ubicia dwóch pięknych okazów kuny domowej we Lwowie. Komunikujący nam tę wiadomość p. Józef Kamberski, wracając w nocy z soboty na niedzielę (z 7. na 8. lipca) około godz. 1 do domu na ul. Gródeckiej pod l. 57. napotkał je na chodniku. Za zbliżeniem się do nich, wydawały kuny przeraźliwy głos, podobny do kociego, roztwierały groźnie pyszczki i rzucały się ku nogom p. Kamberskiego. Kilku uderzeniami laski zabił p. Kamberski jedną z nich, a również i drugą, która uciekła na przeciwną stronę ulicy, udało mu się dopędzić i ubić. Oba okazy są bardzo piękne. Fakt ubicia kun na jednej z najludniejszych ulic naszego miasta godny jest zaznaczenia.“

Młody niedźwiedź w Schönbrunie ubawił przed niewiele dniami wybornie licznych widzów. Zbliżała się właśnie pora żywienia zwierząt i młody niedźwiedź okazywał, jak zwykle w tej porze, wielki niepokój. Zdarzyło się, że właśnie jakaś dama, mająca modną parasolkę, w czerwone kraty, zbliżyła się z nadto do klatki niedźwiedzia i parasolkę złożyła. Niedźwiedziowi spodobał się ten modny aparat antysłoneczny, wyciągnął łapę przez kraty i pochwycając parasolkę do środka, zaczął się nią bawić i drzeć na szmatki. Obecny tej psocie żandarm, czując się w obowiązku przestrzegania wszędzie porządku i poszanowania własności, chciał i tu urząd swój spełnić, lecz nieznający się przed przemocą — co zresztą nietylko w niedźwiedzim świecie się przytrafia — a mysio, nabawiwszy się w swój sposób modnem *en-tout-cas*, wyrzucił w końcu szczytkę po za kraty.

Plaga myszy trapi srodze mieszkańców Australii, oprócz plagi królików. Od Coomebarabran do Coolah każdy dom pełen jest myszy, które niszczą i gryzą wszystko. W jednej miejscowości ofiarowano 2 szylingi za setkę i w ciągu jednej nocy zabito 1000 myszy, poczem cena setki spadła na 1 sz. W pewnym hotelu otruto zapomocą mięszaniny strychniny z mąką przeszło 1000 myszy również w ciągu jednej nocy. W innej miejscowości myszy pożarły świeżo zabitą owcę tak, że pozostały z niej tylko kości. Nierzadko myszy kąsają śpiących ludzi; w wielu miejscach pola zostały zupełnie przez te szkodliwe zwierzęta zupełnie spustoszone, a mieszkańcy naprózno usiłują wymyśleć radykalny środek przeciw tej pladze.

Małpy przy pracy. Pewien farmer w Kingston, wobec drożyzny robotnika, wpadł na pomysł użycia małp do robót w polu. Praca nad wytresowaniem odpowiedniego kontyngensu czworonożnych robotników zajęła mu cztery miesiące czasu, ale rezultaty okazały się znakomite. Małpy sieją, żną i czyszczą ziarno, zastępując zupełnie robotników — murzynów. Nadto robotnik małpi ma być szybszym przy pracy od czarnego, a jest cztery razy tańszy. *Revue Scientifique* zamieszcza ciekawą artykuł, dowodzący, że małpy najdoskonalej dają się użyć do różnych robót gospodarczych, zarówno w domu jak i w polu. Już przed 200 laty koloniści w Sierra-Leona przyuczali małpy do noszenia wody, a w Chinach małpy zbierały doskonale liście w plantacyach herbaty. Wiadomo zresztą, że małpy z wielką łatwością przyswajają sobie niektóre ludzkie zwyczaje, np. jedzą łyżkami, wybornie posługują się nożem i widelcem i z widoczną przyjemnością piją wino, aż do upicia się i w tem zupełnie podobne są do... ludzi.

Łowienie ryb przy świetle elektrycznym. Książę Monaco Albert, który od wielu lat już zajmuje się studjami zoologicznymi i ogłosił drukiem niejedno spostrzeżenie nad niektórymi złowionymi przez niego, a dotąd nieznanymi gatunkami ryb, wyruszył w tych dniach na swoim jachcie „Jaskółka“, aby się przez kilka miesięcy oddawać na morzu rybołowstwu. Książę zamierza przy tej sposobności zastosować do łowienia ryb światło elektryczne, które, według zdania kompetentnych, jest wysmienitym środkiem dla wabienia ryb, i w istocie dokonane w tym kierunku próby dały nader zadawalające rezultaty. Książę kazał sobie zrobić specjalną siatkę, do której przyczepiony jest aparat, zawierający siatkę elektryczną. Zbudowanie takiego aparatu, który wytwarza samodzielnie swoje światło elektryczne, przedstawiało wielkie trudności, gdyż wydawało się niemożliwym prawie, aby lampa zanurzona w toń morską wytrzymała tak znaczny nacisk wody. Fizykowi drwi Regnard, udało się po długich próbach pokonać trudności i zbudować lampę elektryczną do rybołowstwa, odpowiadającą wszelkim wymaganiom. Aparat połączony jest z wielkim balonem gumowym, napełnionym powietrzem, który w miarę opadania aparatu z siecią w fale morskie, reguluje nacisk wody.

Celem dostatecznego ustalenia nakładu „Łowca“ upraszamy tych P. T. członków galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego, którzy jeszcze dotąd z opłatą za rok bieżący zalegają, ażeby raczyli do końca sierpnia b. r. zaległość swą wyrównać. W razie niewyrównania do tego terminu, będziemy się czuli upoważnieni przesłać im najbliższy numer „Łowca“ za zaliczką pocztową.

TREŚĆ: Włodzimierz hr. Dzieduszycki: „O wędrówkach ptaków“. — Dygasiński Adolf: „Z psiarni, pola i kniei“. (Dokończenie.) — Seweryn Krogulski: „Błota Komarnieńskie“. — L. Starzeński: „Polowanie na krokodyla w Galicyi“. — Korespondencye: „Uwagi nad pustynnikiem“. „Niemożność aklimatyzowania pustynnika. Czy należy ochraniać słonki na wiosnę?“ — „Lasy i zwierzyzna“. — Kronika.